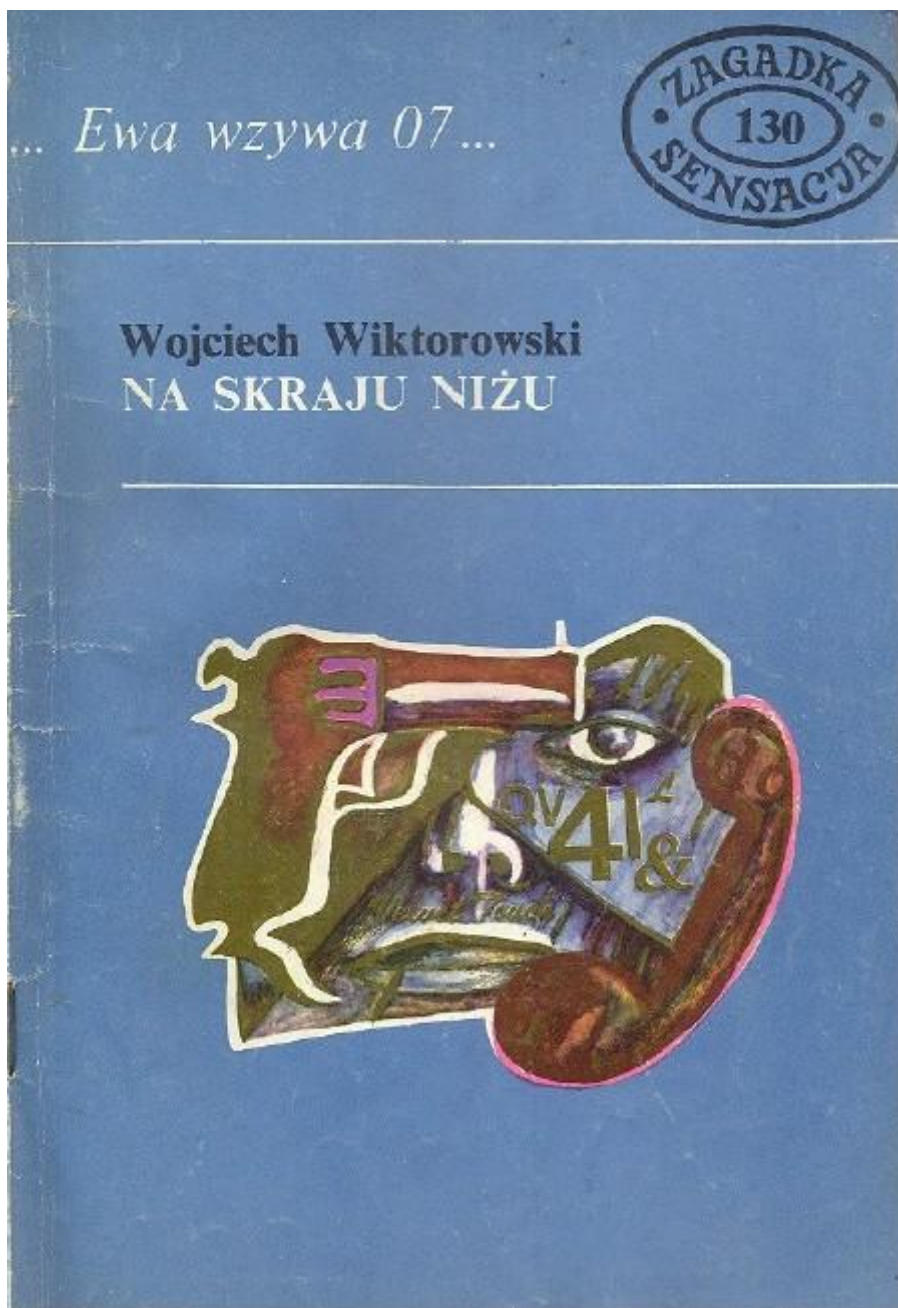


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07

Wojciech Wiktorowski

Na skraju niżu



Rozdział 1

Kapitan Andrzej Zawadzki, inspektor Biura Kryminalnego KG MO. siedział w swoim gabinecie i ponuro wpatrywał się w krople deszczu, spływające po szybie. Dochodziła dziewiąta. Deszcz, który zaczął padać poprzedniego dnia, nic ustawał ani na chwilę, a ciężkie chmury, wiszące nad miastem, wróżyły, że przez najbliższe dni pogoda ma ulegnie zmianie. Na domiar złego bez przerwy wiał dokuczliwy, chłodny wiatr i było naprawdę zimno — stanowczo zbyt zimno jak na początek sierpnia i połowę lata. choćby najgorszego w całym stuleciu.

Inspektor spojrzął na zegarek. Dziewiąta trzy. Na biurku leżała cała sterta zakurzonych teczek z aktami. Otworzył jedną z nich i z rezygnacją zabrał się do przeglądania dokumentów. Po chwili przestał. Jak na razie była to praca ponad jego siły.

Tego dnia zresztą wszystko przychodziło mu z wielką trudnością; może była to wina pogody, może tego. że myślał o czymś zupełnie innym niż powinien, a może tego. że po prostu nie chciało mu się pracować. Nie miał ochoty zastanawiać się nad tym. Spojrzął znowu na zegarek, a potem nacisnął guzik telefonu wewnętrznego. Pani Janeczko...

— Tak. słucham.

— Mam wielką prośbę... Gdyby pani była taka uprzejma, prosiłbym... chodzi naprawdę o drobiazg... prosiłbym bardzo... czy pani mogłaby przygotować dla mnie szklankę kawy?

— Ależ... panie kapitanie...!

— Mocna i dużo cukru... jeśli można prosić. Aha! Zaraz powinien tutaj być niejaki Gutmann. Przedwczoraj wysłaliśmy wezwanie. Jak się zgłosi, będzie pani tak uprzejma i zawiadomi mnie.

— Oczywiście.

Oczywiście, oczywiście... Inspektor uśmiechnął się kwaśno. Dzisiaj nawet rozmowa z sekretarką sprawiała mu trudności. Ciekawe, co będzie, jak przyjdzie ten Gutmann. A zresztą pomyślał — w' końcu najważniejsze, że coś wreszcie będzie się działo, że będzie można przerwać te głupie rozmyślania. Najważniejsze, że będzie można oderwać się od tych akt i porozmawiać z kimś żywym. Nawet jeżeli będzie to tylko Roman Gutmann".

Rozejrzał się po swoim gabinecie. Był to mały. ponury pokój na tyłach komendy, który' zapewne w wyniku czyjegoś złośliwego żartu przydzielono mu rok temu. Okna wychodziły na ścianę sąsiedniego budynku, oddaloną o parę metrów. Dzięki temu nawet w najśnieczniejsze dni panował tutaj półmrok, a na ścianach można było dostrzec wychodzące spod kilku warstw farby ciemne zacieki wilgoci. W taki dzień jak dzisiaj gabinet ten po prostu budził grozę. „Gdyby jeszcze na ścianach porozwieszać narzędzia tortur — pomyślał inspektor całość zaczęłaby wyglądać sensownie".

Dochodziła dziewiąta dziesięć, gdy wreszcie zaterkotał brzęczyk telefonu. Sekretarka zawiadamiała, że przyszedł Roman Gutmann. Jeszcze chwila otworzyły się ciężkie, obite skórą drzwi i do pokoju wtargnął wezwany.

Inspektor przyjrzał mu się ciekawie. Szary golf, skórzana kurtka, czarne sztruksowe spodnie. Do tego twarz podstarzałego playboya. Po rocznym pobycie w więzieniu obywatel Gutmann zaczął znowu prosperować. Inspektor podniósł się z miejsca, wskazał krzesło stojące obok biurka, a potem nic odzywając się ani słowem usiadł i zajął się studiowaniem akt.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Odgłos szybkich, ciężkich kroków. Inspektor podniósł głowę.

— O co znowu chodzi? Czego chcecie? — zarówno ton głosu, jak i czerwony, apoplektyczny rumieniec na twarzy przybyłego świadczyły o jego krańcowym wzburzeniu.

— Drobiazg — odparł inspektor. — Niech pan siada, o ile oczywiście nic ma pan ochoty rozmawiać na stojąco.

— Chcę wiedzieć, o co chodzi!

Inspektor poprawił się na krześle i powrócił do przeglądania akt. Po chwili jego gość usiadł. To już było coś. Zawadzki podniósł wzrok znad papierów i spojrzał prosto w twarz swojemu rozmówcy. Powolnym ruchem zamknął teczkę i odłożył ją na bok.

— Porozmawiamy? Dobrze się pan już czuje? Oddech, tętno, wszystko w normie?

Roman Gutmann nic odpowiedział nic.

— Więc — ciągnął dalej spokojnym głosem — tym razem chodzi nam o Mariana Kota. Pańskiego wspólnika i przyjaciela, jak nam wiadomo... A także jedynego człowieka, który może potwierdzić pańskie alibi.

Żadnej reakcji.

— Siódmego września — mówił dalej inspektor — został zamordowany Jerzy Malec...

— Malec!!! — wykrzyknął Gutmann. — Znowu chcecie mnie w to zrobić?! — zerwał się jak oparzony. Bzdura! Kompletna bzdura!!! Ile było tych idiotycznych przesłuchań?! No?!! Nie wie pan? Siedem, osiem, może dziesięć!!! Co chwila jakieś wezwania, ciągnięcie mnie po różnych komendach!

— Tak więc — spokojnie kontynuował inspektor — siódmego września Jerzy Malec zostaje zamordowany i...

Roman Gutmann zamilkł. Westchnął głęboko i zaczął wpatrywać się w sufit.

— Stało się to dwa miesiące po waszym wyjściu z więzienia. To Malec was tam wpakował i wy o tym doskonale wiecie. Prawda?

— Tak. wiem. Wasz cholerny kapuś!

— No. spokojnie. Jasne, że nie przepadaliście za sobą. To oczywiście niczego nie może tłumaczyć...

Inspektor zrobił krótką przerwę.

— Podobno tego dnia, kiedy zamordowano Malca — powiedział po chwili — byliście najpierw w warsztacie, a potem razem ze swoim wspólnikiem poszliście do kina?

— Zgadza się. mówiłem to setki razy.

— I to jest właśnie wasze alibi. Byliście w kinie z człowiekiem, który następnego dnia prysnął za granicę i nie może potwierdzić niczego. Cisza.

— Chcecie, żebyśmy w to uwierzyli? Dwaj dorośli mężczyźni, którzy znają się od lat i którzy razem pracują, wybierają się wspólnie do kina. Nie na wódkę, nie do kawiarni, ale właśnie do kina... Aha i jeszcze jedno: co to był za film? Tytuł wyleciał mi z głowy,...

— Przygody Misia Yogi,

—Brawo! To jest w tej historii najlepsze. Naprawdę nie mogliście wymyślić już nic innego? Poszliście na czas?

—Tak.

—A Malec został zabity około 19⁰⁰. Doskonale alibi. Gratulacje!

Roman Gutmann nie odpowiedział. Wpatrywał się w okno.

— Zresztą — mniejsza z tym. Teraz interesuje nas Marian Kot. Wyjechał, zdaje się, do Londynu?

— Tak.

— A po co?

—Bo ja wiem? Chyba zarobić. Znajomi mieli załatwić mu jakąś pracę.

— Bardzo mu się spieszyło. Odleciał następnego dnia. Piętnaście godzin po fackie! No dobrze, wyjechał... Mieliście może jakieś wiadomości od niego?

— Nie.

— Ciekawe. Ani słowa do starego współnika. A co będzie, jeżeli on w ogóle nic wróci?

— Specjalnie mnie to nie martwi. Ostatecznie to on straci swój udział.

— Obawiam się, że w tej sprawie wy i tego nic zyskacie... A, i jeszcze jedno: podobno Marian Kot też niezbyt lubił Jerzego Malca.

— Powiedziałem mu, kto wsadził mnie do paki.

—Oooo! Rozumiem. Wierny przyjaciel. Jak wy coś wymyślicie, to nic wiadomo, czy śmiać się, czy płakać. Nic wicie oczywiście, że Kot robił interesy razem z Malcem?

— No... trochę o tym słyszałem...

To już lepiej. Słyszeliście może również, że Malec, który w ogóle nic był najlepszym partnerem do interesów, oszukał Kota na jakieś trzysta tysięcy?

—Marian mówił mi o tym.

—Aha — to wszystko wicie. A może wicie, czy to przypadkiem nie on wpadł na pomysł sprzątnięcia Malca?

—Nie mam pojęcia.

— A może zrobiliście to na spółkę? Gutmann milczał przez długą chwilę. Wreszcie spokojnym głosem zaczął mówić:

— Panie inspektorze, to nie ja wykończyłem Malca. Nie zrobił tego również Marian Kot. Widzę, że jak ze mną się nie udało, to chcecie zwalić wszystko na niego! To najgłupszy pomysł o jakim słyszałem! Kiedy

wreszcie, u diabła przestaniecie oskarżać o zabójstwo Malca każdego, kto wpadnie wam w łapy? Odsiedzia-
łem już swoje. Mam dosyć milicji, więzienia, przesłuchań. Chcę mieć spokój. Cała ta afera zupełnie mnie
wykończyła. Chcę mieć spokój, a tu wszystko zaczyna się od nowa. Mam tego dosyć!

Inspektor demonstracyjnie ziewnął i zaczął znowu przeglądać swoje papiery.

— Mam dosyć! Słyszysz pan? Dosyć!!! Jeszcze jedno takie przesłuchanie i — do diabła, nie wytrzy-
mam! Musicie z tym skończyć!

— Chcemy dać wam szansę, to po prostu zwykła litość.

—Co?!! — wykrzyknął Gutmann. Litość?!! Wiem doskonale, dzięki komu poszedłem siedzieć! To
również pańska zasługa, inspektorze!... Malca, pana i tego bubka z prokuratury. Jednego z was na szczęście
już nie ma!

—Dosyć! Jesteście wolni. Do widzenia.

— Jeszcze jedno wezwanie, jeszcze jedno — powtarzał pieniać się Gutmann — i jak Boga Kocham:
nie wytrzymam!

—Do widzenia — powtórzył o wiele głośniejszym głosem inspektor. Nic jednak nie wskazywało, że został dosły-
szany.

— Czy wyjdziecie sami. czy mam wam pomóc? — zapytał.

To dotarło wreszcie do jego rozmówcy. Roman Gutmann zerwał się z krzesła i wybiegł z gabinetu.
Trzasnęły drzwi.

Zawadzki odczekał jeszcze chwilę, nacisnął guzik telefonu i poprosił o kawę. Wygodnie rozparł się na
krześle i zapalił kolejnego papierosa. Wyglądało na to, że największą atrakcją dnia ma już za sobą.

Pani Janeczka, która weszła z kawą do pokoju, była jak zwykle pogodna i zadowolona z życia. .Jak
ona to robi — pomyślał i to jeszcze w taki dzień?

— Proszę pani — powiedział. — Mam prośbę. Potrzebne mi są akta tej wielkiej afery przemytniczej.
Jest tego bodaj kilkadziesiąt tomów, ale na razie wystarczą mi te z 77 roku. Gdyby pani mogła zadzwonić do
majora Stefańskiego i poprosić o przysłanie ich na górę...

Pani Janeczka zamiast odpowiedzi uśmiechnęła się grzecznie i od razu poszła zadzwonić. Wspaniała
sekretarka! Było naprawdę czego zazdrościć naczelnikowi, który wynalazł ją gdzieś i „oddał” do własnej
dyspozycji. Było również czego zazdrościć inspektorowi, który zajmując sąsiedni pokój mógł również ko-
rzystać z jej usług. Sekretarka naczelnika wydziału — to upraszczało wiele spraw.

Z radością zabrał się do swojej kawy. Tego dnia rzeczywiście czuł się fatalnie. Depresja, skrajne przy-
gnębienie... nie. to było coś więcej. Znacznie więcej. Po pierwsze: niepowodzenia w pracy... Sprawa zabój-
stwa Malca mimo wszystkich wysiłków nie dawała się na razie rozwikłać i. co gorsza, niewiele było nadzie-
i, że kiedykolwiek rozwiązanie jej będzie możliwe. Jeden podejrzany zasłaniał się z uporem (zupełnie niepo-
jętym uporem) wymyśloną naprędce bajeczką i nie było żadnego sposobu, aby nakłonić go do mówienia
prawdy. Drugi przebywał za granicą. Policja angielska, którą oficjalnie poproszono o pomoc w ustaleniu
miejsca jego pobytu, stwierdziła, że prawdopodobnie mieszka gdzieś w Londynie, posługując się fałszywym
nazwiskiem. Adres, który podał urzędnikowi imigracyjnemu na lotnisku, okazał się zupełną fikcją. Nic na-
legano na bardziej dokładne poszukiwania nic było nawet cienia dowodu, który mógłby stanowić podstawę
do wszczęcia takiej akcji.

W tej sytuacji inspektor postanowił czekać aż do momentu, kiedy upłynie termin ważności paszportu Mariana Kota. Być może do tego czasu zdecyduje się on na powrót do kraju. Było to mało prawdopodobne, ale jednak możliwe. Zostały jeszcze dwa dni. Dziesiątego sierpnia wspólnik Gutmanna musi podjąć wreszcie jakąś decyzję

Przesłuchanie Romana Gutmanna, jak można było przewidywać, nie przyniosło żadnych rezultatów. Podobnie zresztą jak poprzednie. Albo Gutmann był twardszy, niż można było przypuszczać, albo mówił prawdę, albo przyjęta metoda nie prowadziła do celu.

Inspektor doskonale wiedział, która i tych trzech możliwości wchodzi w grę. Wiedział, że ciągle przesłuchiwanie Gutmanna w nadziei, że popełni on wreszcie jakiś błąd jest zwykłym nonsensem i służy jedynie oszukiwaniu się i maskowaniu prawdziwej bezradności. Podobnie zresztą rzecz miała się z pomysłem, który przyszedł mu do głowy kilka minut temu. Z góry dokładnie wiedział, co znajdzie w aktach i jaki będzie to miało związek ze sprawą zabójstwa Mąka.

Kiedy wielka, pękata teczka dokumentów' dotarła do jego gabinetu i spoczęła obok innej rozgrzebanej sterty akt, stracił ostatecznie resztę entuzjazmu.

Z obrzydzeniem odwrócił wzrok od swojego biurka. Za oknem nadal padał deszcz. Gdzieś daleko hałasowały samochody i tramwaje. Gdzieś tam naprawę toczyło się życie. Ludzie pracowali, odpoczywali, spieszyli dokądś nie zwracając uwagi na bzdurne sprawy, którymi akurat on musiał się zajmować.

Dosyć! Nacisnął z pasją przełącznik telefonu.

— Pani Janeczko— powiedział stanowczo zaraz wychodzę do miasta i będę... za godzinę. Ale przed tym proszę połączyć mnie z sierżantem Kamińskim.

Chwila przerwy i w głośniku odezwał się głos jego najbliższego współpracownika, stażysty Kamińskiego.

— Mówi Zawadzki. Przyjdźcie do mnie na chwilę.

Nie minęła nawet minuta, gdy wezwany pojawił się w gabinecie inspektora.

— Doskonale, że jesteście. Mam dla was trochę pracy. Tutaj na biurku są akta sprawy zabójstwa Jerzego Malca. Czy wiecie, kto to był?

— Nasz człowiek u przemytników?

— Bez przesady. Powiedzmy, że trochę nam pomógł. Sprawa sprzed roku. Zabójstwo. Paskudnie roztrzaskana głowa. W mieszkaniu niczego nie ruszano. W skrytce za kuchnią notes z nazwiskami.

— Ten słynny notes...

— Właśnie. Dwóch podejrzanych, inni: albo brak motywów, albo możliwości. Ci dwaj mają jedno i drugie. Mają też alibi, ale dosyć kiepskie. Przejrzyjcie to wszystko — może uda wam się coś znaleźć.

— Coś na nich?

— Nie tylko. Jakiś punkt zaczepienia. Rozumiem. A ta druga teka? Też dla mnie?

— Jasne. Akta afery przemytniczej. Rok 1977. Wszystko, co dotyczy Malca. Może znajdziecie coś lu-
laj. Jak skończycie, zerknijcie do innych. Ja muszę teraz wyjść do miasta. Będę za godzinę. Możecie zostać
tutaj albo iść do siebie.

— Wracam do siebie. Tułaj można zamarznąć.

— I zwariować. Zobaczcie tylko, jak tu ponuro — Ja w każdym razie mam już dosyć. Wychodzę.

Szkoda, panie inspektorze — stwierdził z troską Kamiński.

— No cóż. popracujecie trochę... Nic wam nie będzie.

— Ale dlaczego ja, panie inspektorze?

A dlaczego nic? Musicie mieć chociaż trochę praktyki... Przyda się.

Innym też by się przydała. Inspektor aż zbladł ze złości. Może zresztą niezupełnie słusznie wziął do
siebie słowa sierżanta.

— Takie jest moje polecenie. Zrozumieliście? — Odwrócił się plecami do swojego rozmówcy. Tamten
jeszcze przez chwilę czeka! nie wiadomo na co, a potem zupełnie niespodziewanie głośno się roześmiał.

Inspektor zacisnął mocno pięści i głosem, w którym wyraźnie czuło się tłumioną wściekłość, powie-
dział wolno i wyraźnie:

—Do widzenia. Kamiński. Wynście się stąd wreszcie.

Rozdział II

Nastrój nie poprawił się ani trochę. W dodatku pewna myśl, którą dotąd uporczywie odsuwał od sie-
bie, coraz częściej przychodziła mu do głowy. Nic nie pomagało cierpliwe tłumaczenie sobie, że jest to osta-
teczne przyznanie się do klęski, że to i tak nic nie pomoże, że dzięki temu ostatecznie wyjdzie na głupca.
Wszystko było daremne.

Wstał od stolika i podszedł do jednej z kelnerek.

— Przepraszam, czy tutaj jest telefon? — zapytał.

— W szatni obok kelnerka obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem i zabrała się znowu do robienia
manicure.

Poszedł do szatni. Pilnował jej zasuszony staruszek, który po długich namowach zgodził się na jeden
telefon. Inspektor wyciągnął z kieszeni gruby notes. Na ostatniej stronie miał zapisany wielkimi cyframi
numer. „Na pewno nie będzie go teraz w domu pomyślał starając się dodać sobie otuchy. — Nikt zresztą
się o tym nie dowie. Nie ma się czego obawiać”.

Przez długą chwilę rzeczywiście nikt nie odbierał telefonu, wreszcie jednak rozległ się suchy trzask i w słuchawce odezwał się niski, zachrypnięty głos.

— Dzień dobry panu — inspektor daremnie starał się ukryć brak pewności siebie. — Czy mógłbym rozmawiać z panem Tomaszem Szlenkiem?

— Jestem przy telefonie.

— Moje nazwisko Zawadzki. Andrzej Zawadzki — powtórzył, starając się mówić jak najciszej. Staruszek z szatni nic zdradzał jednak żadnego zainteresowania rozmową.

— Tak. słucham.

Mógłby przysiąc, że w głosie tamtego zabrzmiała nutka rozbawienia.

— Czy mógłbym spotkać się dzisiaj z panem? Oczywiście jeżeli nie ma pan czasu...

— Nie czemu nie. Jeżeli ma pan ochotę... Ale wie pan. jestem trochę zaziębiony. Niedługo ma przyjść lekarz, a z nimi nic nie wiadomo. Powiedzmy — około czwartej. Dobrze?

— Dobrze.

— Może przyjdzie pan do mnie do domu? Mieszkam na Międzynarodowej, w tych wielkich blokach. Numer 58, mieszkania 234. Trafi pan?

— Chyba tak. Wie pan — inspektor czuł, że słowa te nigdy nie przejdą mu przez gardło chodzi mi o sprawę żony...

— Tak. rozumiem.

— Do widzenia.

Odłożył słuchawkę. Czuł się teraz jak zwykły pętał, ale — rzecz dziwna — o wiele lepiej, niż kilka minut temu. Może utrata resztek ambicji nic jest tak bolesna, jak się wydaje... Poza tym był znowu chociaż cień nadziei. A to warte było wysokiej ceny.

Zamówił jeszcze jedną herbatę. Postanowił nie wracać do komendy tak szybko, jak zapowiedział. Godzina spóźnienia nie mogła w niczym zaszkodzić, a miał ogromną ochotę na długi spacer, podczas którego mógłby przemyśleć kilka spraw, które ciągle nie dawały mu spokoju.

W komendzie pojawił się dopiero o dwunastej.

Spacer w deszczu dobrze mu zrobił. Czuł się teraz o wiele lepiej. Nabrał nawet znowu chęci do pracy. Nacisnął przełącznik telefonu.

— Pani Janeczko

— Tak, słucham. Zaraz, przepraszam na chwilę...

Przez głośnik dobiegły go czule słowa pożegnania, a potem odezwał się głos sekretarki, który zapewne poprzez kontrast wydał mu się niezwykle oschły i oficjalny.

— Przykro mi, że dzisiaj tak panią męczę — zaczął ostrożnie — ale znowu mam do pani prośbę. Chodzi o jeszcze jeden telefon do majora Stefańskiego. Potrzebne mi będą akta tej samej sprawy, ale z innego roku. Tylko sam początek, to znaczy rok 1976. Gdyby pani mogła poprosić o kilka pierwszych tomów...

Zapalił papierosa i z przyjemnością głęboko zaciągnął się dymem. Zaczynał z powrotem wracać do formy. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Kamińskiego i nic zapytać, jak idzie mu robota, ale po namyśle doszedł do wniosku, że niema co zawracać sobie głowy. Rano sierżant zachował się lak skandalicznie, że na razie nie miał ochoty na następną z nim rozmowę. W dodatku doszedł do wniosku, że jego polecenie nie było znowu aż lak absurdalne i jego celem nie było tylko przysporzenie podwładnemu zbytecznej pracy. Miał niejasne przeczucie, że za kulisami zabójstwa Malca kryje się przede wszystkim sprawa wielkiej afery przemycniczej i że lam należy poszukiwać wszelkich wyjaśnień.

Zapukano do drzwi. Była to pani Janeczka, która z wysiłkiem wniosła do gabinetu dwa grube tomy akt.

— Czy to wystarczy, panie kapitanie?

— O, w zupełności. Dziękuję bardzo. I tak chyba dzisiaj nie zdążę przejrzeć tego wszystkiego. Otworzył pierwszy tom.

Cała sprawa zaczynała się dosyć niewinnie. Pewnego dnia do Prokuratury Generalnej dotarł list prokuratury węgierskiej, w którym zwracano się o pomoc prawną w sprawie nielegalnych powiązań handlowych pomiędzy obywatelami dwóch państw, którzy byli podejrzani o przemyt wielkiej ilości walut i złota. Rozpoczęto śledztwo. W krótkim czasie jego wynik sięgnął imponujących rozmiarów; skazano ponad czterdzieści osób. skonfiskowano dewizy i złoto wartości około stu milionów i zlikwidowano gang niemal w całości. To jednak nie było wszystko. Z dnia na dzień wychodziły na jaw nowe fakty i prowadzący śledztwo stawali przed nowymi zagadkami. Nadal pęczniały akta. nadal trwały przesłuchania i aresztowania.

Członkami tej przestępczej grupy byli najrozmaitsi ludzie — od konduktorów pracujących ni liniach międzynarodowych i zwykłych turystów aż do grubych ryb z przestępczego podziemia organizujących przetrut i sprzedaż. Nie brakowało też ludzi pokroju Malca czy Gutmanna. Niektórzy z nich zostali już skazani, inni oczekiwali na wyroki, a jeszcze inni — jak na przykład Gutmann — zdążyli już swoje kary odsiedzieć.

W całą aferę było również dodatkowo zamieszanych wiele osób, które nic zdając sobie sprawy z pochodzenia dewiz i złota kupowały je od bliżej nie znanych sobie ludzi czy też pośredniczyły przy sprzedaży. Byli to często ludzie, zajmujący wysokie stanowiska, ludzie, którzy dotąd nie mieli żadnej styczności ze światem przestępczym i którzy chcieli po prostu znaleźć dobrą lokatę dla zarobionych pieniędzy. Wśród nich było wielu artystów, lekarzy, architektów.

Jeden z tych ludzi był nawet bliskim znajomym inspektora. Był... Inspektor zastanawiał się przez chwilę, czy stwierdzenie to jest nadal aktualne. Kusiło go nawet, aby z głupia frant zadzwonić do dawno nie widzianego kolegi i zapytać, co porabia, ale w końcu — jak wicie razy przedtem — rezygnował.

Zabrał się znowu do przeglądania akt. Minęła godzina, dwie, a on nadal grzebał w stertach dokumentów. Niestety, nic wnosiło to nic nowego do sprawy, którą prowadził. Czarno na białym potwierdzało się jedynie to, co już dawno wiedział: rolę, jaką w organizacji pełnił Roman Gutmann (który wpadł podczas jednej z wycieczek za granicę, w momencie gdy zawierał transakcję z niejakim Robertem Antonescu) i rolę pełnioną przez Jerzego Malca, który w zeznaniach świadków występował jeszcze jako „pan Marek” z Warszawy i który usłudźnie zawiadomił o tej transakcji milicję. Potwierdzał się również fakt bezspornej winy pewnych ludzi, których nazwiska znaleziono w notesie Malca, a którzy w 1976 występowali jeszcze jako świadkowie. Wszystko to od dawna znał doskonale.

Przerzucił jeszcze kilkanaście teczek i ostatecznie znudzony lekturą odsunął wszystko na bok energicznym ruchem ręki. Znowu nie udało mu się znaleźć nic godnego uwagi. Na pocieszenie mógł sobie przy najmniej powiedzieć, że niezwykle pracowicie spędził te parę godzin.

Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku zapalił papierosa. Teraz pozostawało tylko poprosić sekretarkę o przyniesienie kilku następnych tomów. Spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do czwartej. „Chyba wystarczy na dzisiaj — pomyślał. — Nie przesadzajmy z tą pracą”.

Podniósł się ciężko ze swojego miejsca. Wyglądało na to, że ten koszmarny dzień zakończył się nareszcie. Pozostało mu dokładnie pół godziny do spotkania z panem Tomaszem Szlenkiem.

Nie spiesząc się zdjął z wieszaka przemoczony płaszcz, włożył go, rozejrzał się uważnie po swoim gabinecie, który przypominał teraz kantor bankrutującego przedsiębiorcy, i z westchnieniem ulgi otworzył drzwi.

Pani Janeczka była już ubrana do wyjścia i niecierpliwie oczekiwała na przyjście pracownika archiwum. Uśmiechną! się do niej.

— Czy pani wie — powiedział — że był to jeden z najokropniejszych dni, jakie tu spędziłem?

— Naprawdę? zapytała bez przekonania. — Owszem. Są takie dni, kiedy ma się wrażenie, że wszystko sprzysięga się przeciw nam. Ludzie, pogoda — wszystko. Nigdy nie miała pani takiego uczucia?

— No cóż...

Roześmiał się. Nie, tego dnia wszystkie próby porozumienia się były skazane na niepowodzenie.

— Proszę pani — zaczął dyplomatycznie — miałbym do pani jeszcze jedną małą prośbę... Czy mogłaby pani zadzwonić do pewnego biura... to jest biuro projektowe... i poprosić do telefonu jednego z pracowników, pana Wacława Webera?

— Oczywiście.

„Spróbujmy, może chociaż z tym się uda” — pomyślał. Była ambicja, nie ma ambicji. Cóż — taki dzień.

Podał numer telefonu, który znał na pamięć i właśnie obserwował, jak sekretarka wykręca kolejne cyfry, gdy nagle na obudowie intercomu zapaliło się czerwone światło i rozległ się gwałtowny, niemal histeryczny terkot dzwonka. Sekretarka natychmiast nacisnęła przełącznik.

Beznamiętny głos oficera dyżurnego wypełnił cały pokój:

— Wiadomość dla inspektora Zawadzkiego. Prawdopodobnie zabójstwo. Adres: Międzynarodowa 58. mieszkania 234. Ekipa śledcza w drodze. Szef osobiście prosił, aby inspektor zajął się tą sprawą. To wszystko. Czy pani zanotowała?

Sekretarka spojrzała pytająco na inspektora.

Zawadzki był błydy jak ściana. Nawet z daleka można było dostrzec krople potu, które wystąpiły mu na czoło.

— Panie kapitanie, co się siało? Czy pan źle się czuje? — zapytała zaniepokojona.

Rozdział III

Przed dziesięciopiętrowym blokiem na Międzynarodowej stał milicyjny radiowóz i szara furgonetka.

Inspektor wysiadł z samochodu, którym przed chwilą przyjechał, i podszedł do jej kierowcy, bez reszty pochłoniętego lekturą gazety.

—Cześć, kapralu — powiedział.

Kapral Milecki zdziwiony podniósł wzrok.

— A. to pan. inspektorze. Dzień dobry. Właśnie przyjechaliśmy,

—Kiedy dokładnie?

—Dobre piętnaście minut temu.

Milecki odłożył gazetę, wyglądało, że szykuje się do dłuższej pogawędki. Inspektor machnął ręką na znak, żeby nie zawracać sobie nim głowy.

— Powiedźcie, kto z wami przyjechał, oprócz oczywiście całej ekipy?

— Sierżant Kamiński, panie inspektorze.

—Ach tak! Dziękuję wam. kapralu.

Skierował się w stronę klatki schodowej. Drzwi były uchylone — zapewne jak zwykle nawalił automat. Lista lokatorów, starannie wypisana tuszem, wisiała obok wejścia. Lokal numer 234 — Tomasz Szlenk. Ósme piętro.

Wysiadł do windy, która na szczęście stała na parterze.

Na ósmym piętrze było spokojnie i cicho. Długi korytarz był zupełnie pusty i ciemny. Dopiero pod samymi drzwiami dobiegł go gwar głosów, ponad które wybijał się bas Kamińskiego.

Sięgnął do kieszeni i wiedziony przyzwyczajeniem wydobyl swoją legitymację służbową. Kiedy nacisnął przycisk dzwonka, w środku zrobiło się nagle zupełnie cicho, po chwili szczęknął zamek, otworzyły się drzwi i wyrzała zupełnie mu nie znana twarz milicjanta.

— Obywatel do kogo? zapytał podejrzliwie. Zapewne miał nadzieję, że — zgodnie ze starą zasadą — morderca osobiście powróci! na miejsce zbrodni.

— Kapitan Zawadzki.

Inspektor pokazał swoją legitymację i nie czekając, aż milicjant ochłonie ze zdziwienia, bezceremonialnie odsunął go na bok. W małym przedpokoju tłoczyło się kilka osób, które z wyraźną niechęcią zrobiły mu miejsce. Dotarł do pokoju. Wszyscy członkowie ekipy stali pod ścianami tworząc półkole, którego środek zajmował Kamiński. Klęczał właśnie przy zwłokach, usiłując zapewne ustalić przyczynę zgonu.

— Co się tutaj dzieje? — zapytał ostro. — Panie doktorze zwrócił się do starszego mężczyzny, który dotychczas tkwił wciśnięty w kąt pokoju — proszę bardzo... a pan. sierżancie może by się zajął czymś innym. Mam nadzieję, że niczego pan nie dotykał?

Wszyscy roześmieli się.

— Fotograf! Niech pan zaczyna! Daktyloskop! Może panowie zrobią trochę miejsca! Wszyscy pozostali mogą się na razie odsunąć. O tak! Panowie z patrolu! Dziękujemy za współpracę. Do widzenia! Sierżancie, proszę do mnie.

Skierował się do kuchni, gdzie pozostało jeszcze trochę wolnego miejsca.

— Co pan wyrabia, u licha — powiedział. — Co to ma być? Przyjęcie?

— Panie kapitanie — sierżant przez długą chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. — Sam naprawdę nie wiem...

— No dobrze. Kto zawiadomił milicję? Czerwone plamy na twarzy Kamińskiego zaczynały powoli tracić swoje intensywne zabarwienie. Odpowiadał już zupełnie normalnie.

— Lekarz, panie kapitanie. wezwany jeszcze rano... Taki wysoki mężczyzna w ciemnym płaszczu. Nazywa się Kawecki. Mówi, że wszedł tylko do środka, zobaczył, co się stało i natychmiast pobiegł zawiadomić milicję.

— A jak się tu dostał?

— Drzwi nie były zamknięte. Dzwonił kilka razy. Nikt nie odpowiadał, więc nacisnął klamkę.

— Dobrze. Zaraz poprosicie go do mnie. inspektor wrócił do pokoju, gdzie już sprawnie krzętał się członkowie ekipy.

— Panowie — powiedział głośno — wszystko po kolei. Zaczynajcie od kuchni nie ma przecież nawet gdzie usiąść. Panie doktorze, skończył pan?

— Właściwie tak — odpowiedział siwy mężczyzna, który dotąd stał pochylony nad zwłokami.

— Dobrze. Może przejdziemy do przedpokoju. Tani zdaje się nikogo już nie ma. Aha! — zwrócił się do jednego z ludzi. — Idźcie na dół i zadzwońcie po ambulans. Niech odwieżą ciało do zakładu. Doktor pojedzie z wami. No. doktorze — kordialnym gestem ujął lekarza pod ramię niech pan zaczyna.

— Przede wszystkim nic mogę powiedzieć nic pewnego. Za kilka godzin będę mógł służyć dokładnymi informacjami.

— Wiem. wiem. Dajmy na razie spokój tym wstępom. Chodzi o ogólne informacje.

— No więc, ze wstępnych oględzin wynika, że przyczyną śmierci był prawdopodobnie silny cios w potylicę. Poza tym nie zauważyłem żadnych obrażeń. Ten człowiek nic żyje od kilku godzin. Może od trzech, może od czterech albo nawet od pięciu.

— Czym mógł być zadany ten cios?

— Znowu mogę na razie tylko snuć przypuszczenia? doktor był wyraźnie niezadowolony. — Prawdopodobnie jakimś tępym narzędziem. Nie ma żadnych śladów krwi. a uszkodzenie czaszki jest dosyć poważne. Gdyby to było. dajmy na to, coś w rodzaju butelki czy zwykły stalowy pręt — wszystko byłoby akurat odwrotnie.

— Rozumiem. A może powie pan coś o sile i kierunku tego uderzenia.

— Cios został zadany prawdopodobnie z prawej strony. Nie wymagał specjalnie wielkiej siły. Właściwie każdy mógł tego dokonać. Co jeszcze... Mamy do czynienia z niezwykle precyzyjną: kilka centymetrów bardziej w prawo czy w lewo i wszystko skończyłoby się na wstrząśnieniu mózgu i pęknięciu czaszki. Tutaj jednak było inaczej: denat prawdopodobnie zmarł od razu po uderzeniu, a samo uderzenie — doktor cmoknęła z szacunkiem — ani zbyt silne, ani za słabe. Akurat takie, jakiego potrzeba, aby wyprawić kogoś na tamten świat.

— Dziękujemy bardzo, doktorze. Jeszcze dzisiaj będziemy dzwoniли do pana. Zaraz przyjedzie karetka i będzie pan mógł jechać. Może pan poczekać tutaj albo na zewnątrz. Jak pan woli.

— Chyba pójde na mały spacer — doktor spojrział z niesmakiem na kręcących się po pokoju ludzi. — Straszny tutaj tłok.

Inspektor odwrócił się i poszedł do kuchni. Jeden z pracowników ekipy za pomocą małego rozpylacza pokrywa! specjalnym proszkiem wszystkie miejsca, gdzie mogły znajdować się odciski palców. Drugi pakowa! do toreb różne drobne przedmioty. Zanosilo się, że zanim skończą swoją robotę, upłynie jeszcze sporo czasu. Zawadzki postanowił więc rozejrzeć się trochę po mieszkaniu, które zajmował Tomasz Szlenk.

Była to mała kawalerka, a dokładnie mówiąc — pokój z kuchnią. Umeblowanie, niezłe reprodukcje wiszące na ścianach — wszystko świadczyło o dobrym guście właściciela. Ściany pomalowane na biało, większość mebli w tym samym kolorze, gruby, jasny dywan, leżący naN podłodze — w sumie przyjemna dla oka całość. W kącie antyczna sekretera — bodaj jedyny cenniejszy mebel. Reszta raczej skromna: białe, skandynawskie fotele, niski stolik, kilka skórzanych pułów. Tomasz Szlenk albo nie zarabiał zbyt wiele, albo starał się zachować pozory. Na półkach kilkanaście książek — przeważnie angielskie „kieszonkow — cc” o bajecznie kolorowych okładkach, które dziwnym zbiegiem okoliczności pasowały akurat do zestawu barw całego wnętrza. Na niskim stoliku obok tapczanu leżał najnowszy numer jakiegoś francuskiego magazynu, z którego okładki wesoło uśmiechała się księżniczka Małgorzata. Obok stało wielkie, nowoczesne radio stereofoniczne. To było właściwie wszystko.

Właściciel lokalu leżał na podłodze. Miał na sobie puszysty, wiśniowy szlafrok, spod którego wystawały spodnie od pizamy. Kilka fiolek z lekami, które stały na stoliku, wskazywało, że dzisiaj rano mówił prawdę: rzeczywiście by! chory albo przynajmniej tak mu się wydawało.

Teraz był martwy. Świadczył o tym każdy szczegół w ułożeniu ciała: pozycja głowy, bezradne rozłożenie rąk, kurczowo zaciśnięte palce. Twarzy nie można było dostrzec. Prawdopodobnie było tak, jak przypuszczał lekarz: cios zadano z tyłu, śmierć nastąpiła zapewne zaraz potem.

— Panie kapitanie...

Odwrócił się. Za nim stał Kamiński.

— Panie kapitanie — powtórzył niepewnie — chodzi o tego lekarza. Mówi, że bardzo się spieszy. Czy pan kapitan przesłucha go teraz, czy prześlemy wezwanie?

Skinął głową.

—Spróbujemy dowiedzieć się czegoś od razu. Poproście go tutaj, H ja tymczasem postaram się usunąć stąd naszych ekspertów. Strasznie długo dzisiaj marudzą.

PO kuchni w — dalszym ciągu kręciło się dwóch ludzi. Plon ich poszukiwań trzy duże plastikowe worki, wypełnione najrozmaitszymi drobiazgami leżał na podłodze obok przewróconego kubła, z którego zdążono już wysypać wszystkie śmieci.

— No i jak, panowie? — zapytał inspektor. — znaleźliście coś ciekawego?

— Trochę odcisków tego faceta i jeszcze paru innych osób — odparł jeden z nich. — Oprócz tego to, co zwykle można znaleźć w kuchni. Na wszelki wypadek damy to do laboratorium — może tam odkryją coś nowego.

— Potrzebuję trochę wolnego miejsca. Czy długo jeszcze będziecie tutaj pracować?

Właściwie skończyliśmy. Kuchnia jest do pana dyspozycji.

Wysunął spod małego stolika dwa taborety. „Będzie tu lepiej, niż w komendzie” — pomyślał. Usiadł za stołem. Jak dotąd wszystko szło zupełnie nieźle. Gdyby nie histeryczna reakcja, która tak zdziwiła sekretarkę, nikt nawet nie mógłby pomyśleć, że to śledztwo różni się od wszystkich, jakie dotąd prowadził. Inicjatywa, energia, dobry humor — nigdy nie zdawał sobie sprawy, że to wszystko może przychodzić z tak wielkim trudem. W dodatku nieustanne napięcie i strach, żeby nie powiedzieć jakiegoś niepotrzebnego słowa, które mogłoby wzbudzić podejrzenia.

Najgorsze były chwile, gdy zostawał sam. Nie mógł wtedy powstrzymać natłoku cisnących się do głowy myśli: najbardziej fantastyczne podejrzenia wydawały się zupełnie realne i usprawiedliwione. Dlatego też niemal ucieszył się, gdy w drzwiach pojawił się sierżant Kamiński w towarzystwie starszego jegomościa.

— Dzień dobry, doktorze. Proszę, niech pan siada. z ulgą stwierdził, że mówi zupełnie normalnie.

— Przede wszystkim przepraszam, że musiał pan tak długo czekać. Nie było jednak żadnego wolnego miejsca.

Doktor uśmiechnął się smutno.

— Oczywiście. Rozumiem — odparł. Miał miły, łagodny głos człowieka, który niejedno już widział i który stara się zachować pogodę ducha niezależnie od okoliczności.

— Czy znał pan denata? — zapytał nagle Kamiński.

Inspektor nerwowo zagryzł wargi. W ten sposób nie można było dojść do niczego.

— Tak odpowiedział doktor, kierując wzrok gdzieś w górę — znałem pana Szlenka. Pracuję w tej przychodni blisko pięć lat. Pan Szlenk często nas odwiedzał. Wydawało mu się, że cierpi na jakąś chorobę płuc. Co prawda badania nic nie wykazały, ale faktem jest że często zapadał na zdrowiu. Grypa, angina, lżejsze przeziębienia. Często wystawiałem mu zwolnienia.

— Przepraszam, panie doktorze — wtrącił inspektor — nie będę już panu więcej przerywał, ale czy mógłby pan powiedzieć, gdzie pracował pan Szlenk?

— Oczywiście. Była to jakaś centrala handlu zagranicznego. Bodaj „Metalexport”. Właśnie dzisiaj powiedziano mi, że pan Szlenk zamówił wizytę domową. Przyszedłem około trzeciej. Stałem przez kilka minut pod drzwiami, ale nikt nie otwierał. Zapukałem — nic nie pomogło. Wreszcie nacisnąłem klamkę. Drzwi się otworzyły, wszedłem do środka i zobaczyłem... Leżał dokładnie tak jak teraz. Atak serca czy wylew wydały mi się dosyć nieprawdopodobne. Nachyliłem się i wszystko stało się jasne. To wgniecenie czaszki i w dodatku w takim miejscu... Ponieważ upadł do przodu, a z tyłu nie ma żadnych mebli ani przedmio-

tów o ostrych krawędziach, wydało mi się, że w tej sytuacji najrozsądniej będzie od razu zawiadomić milicję. Pobiegłem na dół i zadzwoniłem z automatu.

— Zupełnie słusznie, panie doktorze — powiedział Zawadzki. — Dziękujemy panu bardzo, to już wszystko. Gdyby pan mógł jeszcze przyjrzeć się uważnie... Chodzi nam po prostu o ustalenie, czy to jest na pewno Tomasz Szlenk.

W pokoju dwóch pracowników zakładu medycyny sądowej szykowało się właśnie do wyniesienia noszy. Inspektor podniósł na chwilę białe płótno, okrywające zwłoki. Doktor patrzył spokojnie przez chwilę.

— Tak, panie inspektorze — powiedział spokojnie — to jest Tomasz Szlenk.

Po chwili razem z Kamińskim znaleźli się znowu w kuchni, która w dalszym ciągu była jedynym spokojnym miejscem w całym mieszkaniu.

— No i co, sierżancie? zaczął Zawadzki, kiedy wreszcie usiedli przy stole i zapalili papierosy. — Chyba zaczynamy normalną robotę. Przede wszystkim sąsiedzi. Może ktoś słyszał albo wie coś ciekawego. Po-lem gospodarz domu. Też powinien nam coś powiedzieć. Co wy na to?

— Oczywiście. Nie liczyłbym jednak za bardzo na to wszystko. Najważniejsi będą chyba jego znajomi no i... znajome.

Inspektor zagryzł wargi.

— Racja — odparł ale zanim uda nam się dotrzeć do jego papierów, upłynie sporo czasu. Jak widzieliście przed chwilą, praca jest jeszcze w toku i chyba szybko się nie zakończy.

— Panie inspektorze sierżant Kamiński uśmiechnął się tryumfalnie. — Mam tutaj coś poklepał się po kieszeni marynarki. — Dostałem 10 pól godziny temu od naszych techników. Jest już zupełnie czysty. Prosiłem ich zresztą, żeby zaczęli od tego.

Sierżant roześmiał się z zadowoleniem, po czym gestem magika wyciągnął niewielki, oprawny w skórę notes.

— Leżał obok telefonu — dodał wyjaśniająco. — Niech pan spojrzysz tutaj — szybko przerzucił kitka karetek ósmy sierpnia, czyli dziś. Tylko jedna notatka. O tutaj! Godzina 16 Andrzej. Co pan na to? Wygląda, że ten Andrzej przyszedł trochę wcześniej...

Inspektor za cenę ogromnego wysiłku zdołał zachować obojętny wyraz twarzy.

— Myli się pan, sierżancie — powiedział po chwili. — Ten człowiek po prostu miał intuicję. Przyszedłem dokładnie o szesnastej, a na imię mam właśnie Andrzej.

Rozdział IV

Dochodziła siódma, gdy zakończył przesłuchiwanie sąsiadów. Ich zeznania nic wniosły do sprawy praktycznie nic nowego. Tomasz Szlenk, jak twierdzili, był człowiekiem niezwykle sympatycznym i budzącym zaufanie. Nigdy nie hałasował po dziesiątej, nie urządzał hucznych przyjęć ani nie naprzykrzał się nikomu częstymi wizytami w błahych sprawach. Pozwalał natomiast korzystać ze swojego telefonu, ilekroć istniały ważne powody, a automat na dole był zepsuty. Ludziom, z którymi utrzymywał bliższe kontakty, leż nikt nie miał nic do zarzucenia. Między dziesiątą a szesnastą prawie wszyscy byli w pracy, ci, którzy akurat zostali w domach, twierdzili, że nie słyszeli ani nie widzieli nic podejrzanego. Nic widziano także nikogo wchodzącego ani opuszczającego mieszkanie denata.

Inspektor zapalił papierosa. Czuł, że naprawdę jest bardzo zmęczony. Wszystkie te przesłuchania, które nie dawały ostatecznie żadnych rezultatów, a które należało koniecznie od razu przeprowadzić, były niezwykle nużące.

Pomagał mu oczywiście Kamiński. Kto wie jednak, czy pozostawanie w roli biernego świadka nie było gorsze. Cały czas obawiał się, że albo zacznie ziewać, albo przedstawi sam swoje własne zeznania choćby tylko po to, aby przerwać nieznośną monotonię tych przesłuchań.

Notes, znaleziony przez Kamińskiego, również nie przyniósł żadnych rewelacji. Na szczęście znajdowały się w nim tylko numery i adresy ludzi i instytucji, z którymi Tomasz Szlenk kontaktował się w sprawach służbowych. Sierżant i inni członkowie ekipy prowadzili jednak dalej szczegółowe poszukiwania. Jak dotychczas udało się jedynie odnaleźć dowód osobisty i kilka innych dokumentów. Wynikało z nich, że Tomasz Szlenk, syn Jerzego i Marii, miał dokładnie 36 lat, pracował rzeczywiście w „Metalexporcie” i posiadał prawo jazdy kategorii C. Książeczka PKO świadczyła, że nie był człowiekiem zbyt zamożnym: stan konta nie przekracza! nigdy kilkunastu tysięcy po ostatnich wypłatach wynosił dokładnie osiem tysięcy trzysta złotych. Odnaleziono również całe stosy rachunków za telefon, książeczki opłat mieszkaniowych i radiofonicznych. To było wszystko. Żadnych listów, fotografii, notatek. Zapowiadała się na przyszłość* benedyktyńska praca, której celem miało być ustalenie nazwisk wszystkich przyjaciół i znajomych denata. Jak dotąd żaden nie dał znać o sobie — telefon uparcie milczał, nikt też na razie nie kwapił się ze złożeniem wizyty.

Brak prywatnych papierów był! co najmniej zastanawiający. Albo Tomasz Szlenk ukrył je gdzieś starannie, albo też zostały one zabrane z mieszkania już później. Było również możliwe, że znajdują się one zupełnie gdzie indziej — na przykład u kogoś, z kimś denat pozostawał w szczególnie bliskich stosunkach. Kim jednak mogła być ta osoba, inspektor wołał na razie nic myśleć.

Taka sytuacja była mu jak najbardziej na rękę.

Nie próbował sobie nawet wyobrazić rozmiarów lawiny domysłów i plotek, której powstanie wywołałoby odkrycie prywatnych papierów denata. Kłóś jednak zadbał, aby tak się nie stało. Być może sam Szlenk. Ryć może — wydawało się to bardziej prawdopodobne — jego zabójca. Motywy i cci takiego postępowania były na razie zupełnie niejasne, ale zapewne człowiek, któremu udało się dokonać w biały dzień morderstwa i który chyba nie pozostawił po sobie żadnych śladów, wiedział, co robi.

— Panie kapitanie — Kamiński pojawił się nagle nie wiadomo skąd — niech pan pozwoli na chwilę. Znaleźliśmy coś.

Inspektor skinął obojętnie głową i ciężko podniósł się z krzesła. Zanosilo się na to, że Kamiński wystąpi znowu z jakąś rewelacją i kto wie, czy nic będzie ona w ogóle ostatnia, o której on. Zawadzki, zostanie zawiadomiony. Oceniał bardzo wysoko lojalność swojego współpracownika, ale jednocześnie doskonale

zdawał sobie sprawę, że już dawno przekroczył granicę, poza którą tego rodzaju sprawy tracą znaczenie. Ostatecznie obaj byli pracownikami milicji i ich celem było przede wszystkim wykrycie sprawcy przestępstwa, niezależnie od tego, kim był i jakie stosunki dotychczas ich z nim łączyły. Od dawna miał zresztą doświadczyć roli, którą przyszło mu odgrywać w całej tej sprawie. Najchętniej już dawno powiedziałby o wszystkim — powstrzymywał go zwykły strach, no i może jeszcze resztki ambicji i wiary, że potrafi sam rozwikłać całą sprawę.

Wstał i z rezygnacją poszedł za swoim współpracownikiem.

Kamiński zatrzymał się obok antycznego sekretarzyka, który stał w rogu pokoju. Dwóch pracowników ekipy wyjęło z niego wszystkie szuflady, rozkładając na olbrzymich arkuszach papieru drobiazgi, które stanowiły ich zawartość. Oprócz dokumentów, kwitów i kartek czystego papieru były tam najrozmaitsze drobne przedmioty: spinki do mankietów, stare fajki, puszka z tytoniem, trochę leków, przybory do szycia, kilka drobnych monet. Sierżant pochylił się i podniósł z podłogi jedną z szuflad. Przez chwilę manipulował przy rzeźbionym uchwycie — potem coś trzasnęło, uchwyt obrócił się i cała krawędź szuflady uchyliła się odsłaniając podwójne dno. Sierżant stanął teraz nad arkuszem papieru. Potrząsnął mocno całą szufladą. Ze środka wysypały się wtedy paczki banknotów i kilka starannie owiniętych w watę małych pakiecików.

Inspektor z uznaniem kiwnął głową.

— Brawo! — powiedział.

Pochylił się nad arkuszem papieru. Banknoty w paczkach były dolarami USA. Na wierzchu leżały same pięciodolarówki. W drugiej i trzeciej paczce to samo. Na oko mogło być tego w sumie jakieś sto sztuk. Trzy paczki razem: około tysiąca pięciuset dolarów. „Nic tak znowu dużo” — pomyślał. Odwinął jeden z pakiecików. Pod grubą warstwą waty leżał złoty sygnet. „Parędziesiąt tysięcy — ocenił. W drugim pakiecie znajdowało się kilka obrączek, w trzecim i czwartym — jakiś mały pierścionek i kolczyki. W sumie nic szczególnego.

— Popatrzcie, sierżancie — zwrócił się do Kamińskiego — nie jest to wielka zdobycz. Ledwo wystarczy na samochód. W porównaniu z tym, co znajdowano dawniej, kiedy w skrytkach było po kilkanaście tysięcy dolarów i kilka kilogramów złota — to w ogóle nic.

— Pan kapitan myśli o tej aferze? — zapytał jeden z techników.

— Właśnie. Nawet miałem cichą nadzieję, że to kolejna sprawa z tej serii. Ale to chyba coś zupełnie innego.

Sierżant skinął głową. Widocznie jego obliczenia zgadzały się z obliczeniami Zawadzkiego.

— Poza tym — dodał inspektor — nic ma forintów ani marek. No i ten sygnet i kolczyki. Tamci zawsze przemycali łańcuszki — o wiele lepszy zarobek. Zdaje się, że denat po prostu lubił mieć pieniądze pod ręką. Ciekawe tylko, co zrobił ze swoimi papierami? Może też są w jakimś schowku? Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby ten człowiek nie pisywał listów, nie miał żadnych fotografii i znał na pamięć numery telefonów wszystkich swoich znajomych. To musi gdzieś być.

Kamiński zastanawiał się przez chwilę.

— Może ktoś już grzebał w jego rzeczach? — powiedział. — Może zdobycie tych papierów było dla niego tak ważne, że nie zawahał się popełnić morderstwa?

— Tak. To możliwe. Dobrze byłoby jednak wiedzieć to na pewno.

— Oczywiście.

— Dochodzi ósma. Chyba skończycie przed dziesiątą?

— Chyba tak.

— Świetnie. Ja... no cóż... ja... chyba już pójdę.

— Ależ, panie kapitanie — Kamiński popatrzył na niego osłupiały — zostały przecież przesłuchania, niedługo ma dzwonić lekarz, jest mnóstwo roboty...

— To prawda. Ale przecież wy tu będziecie. Poradzicie chyba sobie z takimi drobiazgami. Jeżeli nie, to oczywiście zostanę.

— Panie kapitanie — Kamiński mówił teraz bardzo cicho — to przecież nie o to chodzi...

— A o co?

— No, tak się po prostu nie robi.

— A dlaczego nie? Słuchajcie, sierżancie — podszedł bliżej do swojego podwładnego i powiedział zniżając głos — naprawdę nie wiem, o co wam chodzi. Została tylko normalna, rutynowa robota chyba dacie sobie radę beze mnie? Macie mój numer telefonu — jak będzie coś ważnego, zawiadomicie mnie i jak będzie trzeba, przyjdę. Jest ósma dzisiaj i tak nie będziemy już nikogo przesłuchiwać. O co więc chodzi?

— Właściwie o nic, panie kapitanie. Tylko o zasadę.

— A! Rozumiem. Urażona ambicja. Biedny stażysta, któremu każą odwalać czarną robotę. O to chodzi?

— Nie tylko...

— No to powiedzmy, że kiepsko się czuję, że miałem ciężki dzień i że najzwyczajniej w świecie mam ochotę pójść do domu. To wam wystarczy?

— Nie. I nie tylko mnie nie wystarczy! Kamiński nie ukrywał już swojego oburzenia.

— Mało mnie to obchodzi. Nie będę się przed wami tłumaczył. Ani przed nikim innym. Czekam na telefon. Do widzenia.

Zdjął z wieszaka płaszcz i nie odzywając się już ani słowem wyszedł na korytarz.

W chwilę później, gdy wychodził z budynku, pomyślał, że młody sierżant ma jednak sporo racji. Nie mógł mu jednak powiedzieć, że jak na jeden dzień ma już zupełnie dosyć wydarzeń, z których każde mogło oznaczać koniec jego kariery.

Na dworze było ciemno. Deszcz na szczęście przestał na chwilę padać. Po dusznej, pełnej tytoniowego dymu atmosferze pokoju, w którym spędził kilka ostatnich godzin, orzeźwiający chłód wieczornego powietrza był niezwykle przyjemny. Rozpiął płaszcz i nie zważając na ogromne kałuże wolno szedł przed siebie rozkoszując się samotnym spacerem.

Czekała go teraz wizyta w domu. Cierpliwe tłumaczenie żonie, dlaczego nie mógł przyjść wcześniej, a potem wspólna kolacja w atmosferze wzajemnej niechęci i podejrzliwości. Nie miał siły na awanturę, więc zapewne zjedzą kolację i zaraz potem pójdą spać. Potem jutrzejszy dzień: rozmowa z Kamińskim, kilka przesłuchań, które do niczego nie doprowadzą, przeglądanie wyników badań i cała reszta.

Na klatce schodowej było zupełnie ciemno. Spoza zamkniętych drzwi mieszkań na parterze przenikały smugi światła i przytłumiony hałas muzyki. Na trzecim piętrze, gdzie znajdowało się jego mieszkanie, było zupełnie cicho. Nacisnął przycisk dzwonka. Czekał przez chwilę. Spróbował jeszcze raz, a gdy i to nie odniosło skutku, wyjął klucze. „Pewnie gdzieś wyszła — pomyślał. — Ciekawe tylko, gdzie?”

Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Pierwszą rzeczą, którą dostrzegł, był widok ubrań porzuczonych na podłodze. Szafa była otwarta. Ze środka wylewała się cała masa rzeczy, które ktoś powyrzucił z półek, a potem były jak poupychał na miejsce. Na podłodze leżały otwarte walizki. Przez chwilę stał bez ruchu, nie wierząc własnym oczom.

— Hanka! — krzyknął.

Nikt mu nie odpowiedział. W mieszkaniu panowała nadal niezmacona cisza. Wpadł do pokoju. Wszędzie to samo: bałagan, porzucane ubrania, bielizna powywlekana z szuflad, roztrzaskany telefon. Na stole kartka papieru. Kiedy podniósł ją i przeczytał, poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Napis wydrukowany starannie wielkimi literami nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości: Nie zawiadamiaj swoich kumpli. Odezwiemy się. Twojej żonie nic się nie stanie. To było wszystko.

Rozdział V

Nie zwracając uwagi na bałagan, na sterty ubrań i papierów porzuczonych dookoła, siedział przy stole i małymi łykami popijał gorącą kawę. Są takie chwile, kiedy największa nawet odporność i han ducha wyczerpują się, ustępując miejsca paralizującemu uczuciu bezwoli i odrętwienia. Tak właśnie czuł się teraz.

Wszystkie problemy, wątpliwości, setki pytań, na które nic potrafi! znaleźć odpowiedzi, wszystko, co dotychczas zaprzętało mu głowę — nagle zniknęło gdzieś, rozplywając się w ogarniającym go poczuciu bezsily.

Już dawno powinien był zawiadomić milicję, przystąpić do poszukiwań czy chociażby przemyśleć i przeanalizować całą sprawę. Nie miał na to siły. Poza tym gotów był iść o zakład, że i tak nic doprowadzi do do niczego. Zapewne po jego telefonie natychmiast pojawiłaby się ekipa śledcza. Znowu zaczęłyby się przesłuchania, dopytywanie się o żonę, o ich wzajemne stosunki, o znajomych i przyjaciół. Wyobrażał sobie każde z tych pytań, na które doskonale znał odpowiedź. Żadna z tych odpowiedzi nie była jednak w stanie wyjaśnić, kto i dlaczego dokonał tego czynu.

Pozostawała oczywiście kwestia szczegółowych badań: odciski palców, mechanoskopia i tak dalej. Zdawał sobie sprawę, że w tym wypadku trudno liczyć na jakieś godne uwagi wyniki. Zapewne żona, nie spodziewając się niczego, otworzyła drzwi — do środka wtargnęło wtedy kilka osób, które bez najmniejszego trudu dokonały porwania. Prowadził kiedyś podobną sprawę i wiedział, jakie trudności napotyka wtedy śledztwo. Brak śladów, brak najmniejszego punktu zaczepienia, pogmatwane zeznania świadków, którzy jeśli nawet coś spostrzegli, to i tak nie są w stanie powiedzieć nic konkretnego. Zazwyczaj pozostaje w takiej sytuacji oczekiwanie, aż porywacze sami nawiążą kontakt. Wcześniej czy później dają oni znać o sobie

występując z propozycją okupu. Czego w tym wypadku mogliby zażądać — nie umiał sobie nawet wyobrazić.

Mógłby oczywiście sam przystąpić do działania. Ale co konkretnie miał zrobić? Bez trudu ustalił, że z mieszkania nie zginęło nic oprócz osobistych rzeczy żony. Pieniądze, dokumenty, nawet służbowy pistolet — wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Brakowało kilku sukienek, podróźnej torby — jednym słowem tego wszystkiego, co zabiera się ze sobą na krótki pobyt poza domem. Zapewne przy poszukiwaniu tych rzeczy zrobiono cały ten bałagan. Szuflad, w których znajdowały się jego rzeczy i dokumenty, nikt nie próbował nawet otwierać. Właściwie poza tym nieporządkiem i rozbitym telefonem nic było w mieszkaniu żadnych śladów działalności przestępców. Pół godziny sprzątnięcia i nikt nie domyśliłby się, że coś w ogóle zaszło. Pozostawała jeszcze kartka, którą — jak wszystko wskazywało — pozostawiono specjalnie dla niego.

Był to mały czworokątny kawałek brystolu wycięty zapewne z jakiegoś większego arkusza.

Litery z pewnością nic zostały napisane ani tuszem, ani atramentem. Kreska była zbyt czysta. Poza tym sam wygląd liter, z których każda miała identyczne rozmiary i dość skomplikowaną formę, świadczył, że nie było to odręczne pismo. Prawdopodobnie zostały one napisane za pomocą specjalnego zestawu do liternictwa, który od niedawna można było kupić w każdym sklepie papierniczym. Po drugiej stronie kartka była zupełnie czysta — nie było ani jednego słowa, żadnych śladów, zupełnie nic. Przez długą chwilę oglądał ją pod światło, badał krawędzie posługując się szkłem powiększającym — nie przyniosło to żadnych rezultatów. Zwykły karton, który można kupić niemal wszędzie.

Telefon leżał na podłodze obok stolika. Sznur został wyrwany z gniazdka — komuś to jednak nie wystarczyło, bo cała obudowa była roztrzaskana, a ze środka wystawały różne zmiążdżone części. Prawdopodobnie dzieła dokonano jednym mocnym uderzeniem obcasa. Ponieważ mogły przy tym pozostać jakieś ślady, które w przyszłości przydałyby się może do zidentyfikowania właściciela obuwia, wiedziony poczuciem obowiązku zapakował resztki telefonu do papierowej torby.

Na tym właściwie zakończył czynności śledcze. Wyglądało na to, że wyczerpał wszystkie swoje zasoby energii i inicjatywy. Mimo że stała się rzecz naprawdę straszna — wszystko wskazywało, że jego żona została porwana — nie był w stanie przejąć się tym i podjąć jakieś zdecydowane działania.

Patrzył bezmyślnie w okno obserwując, jak powoli płyną po szybie strugi deszczu i jak w oddali migoczą okna innych domów. Do jego świadomości nie docierało nic poza poczuciem ogromnego zmęczenia i niechęci. Porwano żonę... trudno, zabito Szlenka... też trudno, był beznadziejnie wplątany w to wszystko i to tak, że nic mógł nawet zaryzykować zawiadomienia swoich kolegów — też trudno. „Zresztą jeżeli nawet zacznę coś robić — pomyślał — to i tak wkrótce okaże się, że wszystko będzie wlokło się w nieskończoność albo obróci się przeciwko mnie”. Doprawdy, w tej sytuacji znacznie lepiej było nie robić nic.

Zapalił następnego papierosa. Myśl, która nagle przyszła mu do głowy, była zupełnie fantastyczna. Dotychczas analizując możliwości dokonania porwania niemal automatycznie wykluczał udział jednej osoby. Gdyby jednak i ją wziąć pod uwagę?... Cała sprawa mogłaby wtedy ukazać się w zupełnie innym świetle.

Wstał i powoli podszedł do wielkiego biurka, które znajdowało się pod ścianą, w rogu pokoju. Zapalił lampę. Wszystkie papiery należące do żony: listy, zdjęcia, dokumenty znajdowały się w jednej z dolnych szuflad. Wyjął ją i położył na podłodze. Mimo że czasem miał na to wielką ochotę, nigdy dotąd nie zdarzyło mu się przeglądać tych papierów. Teraz nie było żadnych powodów, aby liczyć się z jakimikolwiek skrupułami. Metodycznie zabrał się do pracy.

Odłożył od razu na bok wszystkie dokumenty i całą korespondencję dotyczącą spraw służbowych interesowały go tylko prywatne listy i zdjęcia. Tych pierwszych było mnóstwo: pozdrowienia od znajomych, trochę kart pocztowych z zagranicy, kilka długich i przeraźliwie nudnych listów od przyjaciółek, przesyłki od rodziny — w sumie nic ciekawego. Rozczarowany otworzył wielkie pudło ze zdjęciami. Na samym wierzchu leżało kilka amatorskich fotografii z jakiegoś przyjęcia. Z trudem można było rozpoznać twarze biesiadników, wszyscy najwyraźniej bawili się wspaniale i nie żalowali sobie alkoholu — stąd też powychodzili na zdjęciach dosyć osobliwie. Jedno z tych zdjęć zainteresowało go szczególnie. Widać było na nim jego żonę tańczącą z jakimś mężczyzną. Miał on przymknięte oczy cała twarz znajdowała się właściwie poza zasięgiem błysku flesza, ale ani przez chwilę nie miał najmniejszej wątpliwości. To był Tomasz Szlenk.

Mocno zagryzł wargi. Wszystkie ogniwa łańcuchów pasowały do siebie znakomicie. Tak orzekłby każdy, komu zdarzyłoby się prowadzić śledztwo w tej sprawie. Zazdrosny mąż. niezręcznie upozorowane porwanie. Wszystko było jasne i proste. Zależnie od gustu do roli zabójcy Szlenka można było wyznaczyć albo inspektora, albo jego żonę.

Mógł sobie pogratulować, że postępując zgodnie z radą, której mu udzielono, nie zawiadomił „swoich kumpłi”. Nie mógł sobie wyobrazić, jak by się czuł teraz, gdyby ktoś w rodzaju Kamińskiego demonstrował mu te zdjęcia.

Zastanawiał się przez chwilę nie wiadomo nad czym a potem zebrał wszystkie fotografie i razem z kartką włożył je do portfela. Potrzebował teraz pomocy kogoś, kto mógłby uwierzyć mu bez zastrzeżeń i komu mógłby przedstawić całą sprawę bez obawy, że następnego dnia zostanie o wszystkim poinformowany cały personel komendy. Włożył płaszcz i wyszedł starannie zamykając za sobą drzwi.

Budka telefoniczna znajdowała się niedaleko domu. ale ciemność i głębokie wykopy, którymi zryte było podwórko, sprawiły, że minęło sporo czasu, zanim udało mu się do niej dotrzeć. Na szczęście w środku nie było nikogo. Odnalazł w kieszeni monetę i nakręcił numer. Był bardzo ciekawy, jak zareaguje jego — przyjaciel, gdy po kilku miesiącach milczenia dostanie nagle telefon z prośbą o natychmiastowe przybycie w ważnej sprawie.

Wacław Weber przyjął to spokojniej, niż można by się spodziewać. Co prawda zakrztusił się na początku rozmowy, potem chrząknął! parę razy, wreszcie przy końcu rozmowy wydawało się, że brak mu powietrza, ale wreszcie zgodził się na wszystko i zapowiedział, że będzie za kilkanaście minut.

Rzeczywiście, nic upłynął nawet kwadrans, a wielki szarozielony opel zatrzyma! się z piskiem opon tuż obok budki telefonicznej.

Oslaniając się połą płaszcz (deszcz zaczął znowu padać) inspektor podbiegł do samochodu. Drzwiczki były już uchylone nie tracąc ani sekundy wsunął się do środka.

Jego przyjaciel nie zmienił się ani trochę przez te parę miesięcy. Wacław — Weber nadal był uosobieniem pewności siebie i spokoju. Rozparty wygodnie siedział za kierownicą swojego samochodu i palił długiego, zagranicznego papierosa. Opalona twarz, ciemne włosy z pasmami siwizny, wypięęgnowane ręce, do tego modna koszula z krótkim kołnierzykiem, elegancki złoty zegarek — wszystko jak z żurnala.

Inspektor nie wierzył własnym oczom. Podziw, jaki żywił zawsze dla ludzi umiających w każdych okolicznościach wygodnie się urządzać, wzrósł teraz o kilka stopni. Z zakłopotaniem spojrzął na swój prze-moczony płaszcz i zabłocone spodnie. Wyglądało na to, że nigdy nie uda mu się przeniknąć do ekskluzywnego kręgu ludzi, którzy zawsze potrafią sobie poradzić z deszczem, zimmem i błotem.

— Cześć — powiedział niepewnie.

— Cześć.

Silnik zamruczał cicho i ruszyli. Dziwne, ale we wnętrzu wielkiego, zagranicznego samochodu nawet smutny dźwięk kropel deszczu, bębniących o dach, brzmiał zupełnie inaczej. Wydawał się niezbędnym dodatkiem do płynącej z głośników muzyki i odgłosów miarowej pracy wycieraczek.

Inspektor z rozkoszą zagłębił się w miękkim fotelu i wyjął swoje papierosy. Tego wieczora nawet odrobina luksusu sprawiała mu ogromną przyjemność.

— Słuchaj, Wacek — odezwał się po chwili — czy twoja żona jest w domu?

— Nie. Kilka dni temu wysłałem ją na Mazury — — Wacław Weber zdziwiony odwrócił głowę.

A dlaczego pytasz?

— Tak sobie.

— Aha.

Rozmowa się urwała. Inspektor pochłonięty własnymi myślami palił spokojnie papierosa i w skupieniu obserwował drogę. „Dziesięć minut, może piętnaście — pomyślał. — Na pewno nie dłużej. Jak się ma taki samochód... Mój Boże — zreflektował się co za bzdury! Piętnaście minut wewnętrzny głos nadal nic dawał mu spokoju — piętnaście minut i można wywieźć każdego dokąd się chce... ślady walki nic. nie ma żadnych śladów walki”.

Rozejrzał się po wnętrzu samochodu. Nie było żadnych śladów walki. ..Chyba zwariowałem — pomyślał. — Chyba doszło wreszcie do tego. Patologiczna podejrzliwość. Patologiczna!”

— Co u ciebie słyhać? — spokojny głos przyjaciela przerwał wreszcie te rozmyślenia.

— Co u mnie słyhać? — powtórzył głupekowato. — Hm... Właściwie to nic.

— A Hanka?

—Co: Hanka?

— No. skarżyła się na ciebie. Na mnie?

A na kogo by innego? Na takiego jednego faceta — chciał już odpowiedzieć sto siedemdziesiąt centymetrów, waga lekkośrednia. Znaki szczególne: dziura w głowie. Ostatni adres: zakład medycyny sądowej. Naprawdę chciał tak odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

— Podobno jesteś patologicznie podejrzliwy...

—No tak, ty! Przykro mi bardzo, nic wiem. co ostatnio między wami zaszło, ale niestety, musiałem przyznać rację twojej żonie.

Nic nie odpowiedział.

—Zastanów się nad tym! Ta praca kiedyś zupełnie cię wykończy.

To już się stało — chciał znowu odpowiedzieć, ale w rezultacie nie powiedział nic.

Podjechali pod dom Webera. Był to niski, kilkupiętrowy budynek, zbudowany jeszcze przed wojną. Otaczał go niewielki ogród, w pobliżu było spokojnie i cicho.

Ponieważ deszcz w dalszym ciągu nie przestawał padać, dotarli biegiem do klatki schodowej. Na trzecie piętro prowadziły wielkie, szerokie schody — mieszkania w tym domu były tak wysokie, że po wejściu na górę inspektor czuł się jak po wspinaczce na szczyt wieżowca.

Wacław Weber otworzył drzwi. Zawadzki wszedł do środka, powiesił na wieszaku mokry płaszcz i nie czekając na zaproszenie od razu skierował się do gabinetu przyjaciela.

Był to wielki, podłużny pokój, raczej ponury — mimo że ogromne okna zajmowały niemal całą ścianę. Od czasu ostatniej wizyty nic się tutaj nie zmieniło. Nadal były te same stare meble, półki wypełnione książkami, mały podręczny barek. Na samym środku stał rajbret z przypiętym rysunkiem. Jak zwykle dookoła panował nieopisany bałagan. Na stole leżały sterty kartonów i kalki, porzucane ekierki i przymiary, dziesiątki małych buteleczek z farbą i tuszem. Trzy szklanki pełne starych fusów i popielniczka, w której piętrzyła się góra niedopałków, świadczyły, że Wacław Weber przeżywał osłalnio pracowite dni. Inspektor ostrożnie odsunął stojącą na podłodze nie wykończoną jeszcze makietę i wygodnie rozsiadł się w pokrytym skórą fotelu.

Weber przez chwilę zamierzał zrobić to samo. w końcu jednak skinął ręką, prosząc o chwilę cierpliwości i wyszedł do kuchni. Po chwili ukazał się w drzwiach z pękatą butelką i dwoma kieliszkami.

— Mam trochę koniaku. Wypijmy.

— Wypijmy — zgodził się inspektor.

Koniak był znakomity. Jeden mały łyk, drugi niestety, w nieskończoność nie dało się tego przeciągnąć.

— No to co, zaczynamy. Inspektor kiwnął głową.

— W porządku, zaczynajmy.

Z kieszeni marynarki wyjął portfel i wyciągnął z niego kartkę, którą niedawno znalazł u siebie w domu. Podał ją swojemu rozmówcy.

— Przede wszystkim powiedz mi co to jest?

Wacław Weber przez długą chwilę przypatrywał się małemu skrawkowi kartonu. Oglądał go pod światło, przesuwając palcami po krawędziach, kilkakrotnie przeczytał wydrukowany napis. Wreszcie zwrócił kartonik inspektorowi, który z zaciekawieniem obserwował wszystkie te poczynania.

— Co to jest? No cóż: zwykły brystol. Przypuszczam, że chodzi ci przede wszystkim o ten napis. Istotnie, tego się u nas jeszcze powszechnie nie stosuje. Za granicą nazywa się to Letraset. Niedawno pojawiła się w sklepach nasza rodzima wersja.

Podniósł się z miejsca i podszedł do jednej z półek.

— Tutaj mam kilka takich arkuszy. O, ten zdaje się będzie taki sam.

Z kartonowej teczki wyjął zupełnie nowy arkusz kalki pokryty różnymi literami.

— Tak, to ten sam krój. Popatrz, wystarczy położyć to na kartce papieru. Teraz czymś twardym naciskasz odwrotną stronę, przesuwasz wzdłuż krawędzi liter, no i proszę — podniósł kartkę papieru — litera przechodzi na papier.

— Gdzie to można kupić?

— Chyba wszędzie. Ja kupiłem to w sklepie papierniczym. Tutaj obok.

Przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie Waław Weber wyraźnie zniecierpliwiony powiedział:

— Czy wreszcie dowiem się, o co chodzi? Czy to tajemnica, czy uznasz za stosowne udzielić mi wyjaśnień? Przede wszystkim: skąd pochodzi ta kartka?

— Godzinę temu znalazłem ją u siebie w domu — powiedział bardzo wolno i spokojnie inspektor.

— Co?

— To, co słyszałeś. Godzinę temu. U mnie. To znaczy — u nas. W domu.

— Zaraz, zaraz — Waław Weber nie mógł przyjść do siebie. — Czy to znaczy, że Hanka...? Nie, to niemożliwe! Absurd!

Inspektor nie odezwał się ani słowem.

— Absurd! To na pewno jakiś żart!

— Nie sądzę...

— Czy to ma oznaczać, że ją porwano? Nie, to niewiarygodne! To nie mogło się zdarzyć.

Inspektor nic nie odpowiedział.

— A właśnie — Waław Weber był bardzo wzburzony — czy zawiadomiłeś już milicję, to znaczy... tych „swoich kumpli”?

— Jeszcze nie.

— Nie? Dlaczego?

Inspektor starał się za wszelką cenę nie patrzeć na swojego rozmówcę. Domyślał się, jak mogłoby być odczytane nawet najnormalniejsze i najbardziej naturalne spojrzenie. Starał się także w popłochu znaleźć jakąś sensowną odpowiedź.

niestety, było już za późno. Waław Weber postawił z trzaskiem pusty kieliszek. Twarz poczerwieniała mu z gniewu, a w głosie zabrzmiała nieukrywana furia.

— Do diabła, Andrzej! Chyba mnie o nic nie podejrzewasz?!

Kieliszek zleciał ze stołu jak zdmuchnięty i roztrzaskał się o ścianę. Niewiele brakowało, a to samo stałoby się z butelką i kieliszkiem inspektora. Na szczęście Waław Weber w ostatniej chwili powstrzymał zamach ręki.

— To naprawdę przekracza wszelkie granice! Czy ta cholerna sprawa będzie wlokła się za mną do końca życia? No, powiedz coś wreszcie, do cholery!

Rozdział VI

— Przede wszystkim uspokój się. Zaraz wszystko wyjaśnię.

— Mam nadzieję. Ale przed tym ustalmy pewne fakty — Waław Weber mówił już trochę spokojniej — inaczej do niczego nie dojdziemy. Więc najpierw: czy naprawdę sądzisz, że jestem zamieszany w tę sprawę? A może — uśmiechnął się z przymusem — udało mi się już odzyskać twoje zaufanie?

— W innym wypadku nie byłoby mnie tutaj — stwierdził sucho inspektor.

— Ach, tak! Więc nie przyszedłeś tutaj tylko po to, aby mnie przesłuchać?

— Nie.

— Dobrze. Powiedz mi w takim razie, co z tamtą sprawą. Ostatnio rozmawialiśmy na ten temat parę miesięcy temu. Była to, zdaje się, nasza ostatnia rozmowa. Również rozmowa — nie przesłuchanie.

— Chodzi ci o tę wizytówkę?

— Właśnie — Waław Weber podniósł się ze swojego fotela i zaczął chodzić po pokoju. Był naprawdę bardzo zdenerwowany. — Pamiętam jakby zdarzyło się to wczoraj. Siedzieliśmy zresztą w tym samym pokoju. Powiedziałem ci wtedy, że naprawdę nie wiem nic o tym człowieku, który został zamordowany. Jak on się nazywał?

— Malec. Jerzy Malec.

— Tak. Nie uwierzyłeś mi oczywiście. Powiedziałem ci również, że ostatnio kupiłem trochę złota. Od człowieka, którego polecili mi znajomi z pracy. To właśnie jemu dałem swoją wizytówkę. To był błąd. Ale skąd mogłem wtedy o tym wiedzieć?

— Dajmy spokój — inspektor miał dosyć całej tej rozmowy i nie ma sensu wracać do przeszłości. To już skończone.

— Chwileczkę. Wyjaśnijmy wszystko do końca. Wizytówka została później znaleziona w mieszkaniu Malca. Wśród wielu innych dokumentów. Zgadza się?

— Tak.

Wszyscy ci ludzie byli zamieszani w sprawę jakiejś afery przemytniczej?

— Bez przesady. Niektórzy nie mieli o niczym pojęcia.

— Tak jak ja. Poprosiłem cię wtedy, zawsze będę tego żałować — aby ta wizytówka nie znalazła się w — aktach. Zgodziłeś się. Mogłeś odmówić i nie miałbym do ciebie żalu i sądzę, że potrafiłbym to zrozumieć. Mogłeś postąpić inaczej — a jednak zgodziłeś się. Dokładnie zresztą ci wyjaśniłem, dlaczego tak mi na tym zależy. Pamiętasz?

Inspektor nic nie odpowiedział.

— Więc wytłumaczę to jeszcze raz. Pracuję w dosyć dziwnej instytucji. U nas naprawdę istnieje konkurencja. Każdy projekt — to mnóstwo roboty, ale i duże pieniądze. Aby mieć cię szansy w tym współzawodnictwie — bo równie zdolnych jak ja nie brakuje — nie wystarczy tylko mieć talent. Potrzebna jest również nienaganna opinia. Czy rozumiesz to? Człowiek, który był wplątany w jakieś kryminalne sprawy, a już zwłaszcza w jakąś aferę przemytniczą, po prostu nie ma u nas czego szukać. To nieważne, że nic mu nie udowodniono — pozostaje opinia, która wlecze się za nim jak cień. I tak to już jest... Zgodziłeś się — mówił dalej — oznaczało to, że wierzysz mi bez zastrzeżeń. Podałem ci zresztą wszystkie fakty i dane, które znałem. Tymczasem już w kilka dni po naszej rozmowie u mnie w pracy pojawiają się jacyś dziwni ludzie, któ-

rzy zaczynają wypytywać o mnie. o moich znajomych. Zaczynają się jakieś dziwne telefony do domu. Jak to wytłumaczyć? Czy to przypadkiem nic chorobliwa podejrzliwość?

Inspektor uśmiechnął się kwaśno.

— Podejrzewam, że zacząłeś prowadzić swoje prywatne śledztwo w tej sprawie. Czy przyniosło jakieś rezultaty?

Inspektor nic nie odpowiedział.

— Nie mogło przynieść żadnych rezultatów! Doskonale wiesz, że nie miałem z tym nic wspólnego. Chciałeś się upewnić — w porządku: ostatecznie jesteś pracownikiem milicji. Nie wystarczy ci moje słowo? Chcesz i musisz wiedzieć na pewno? No więc dowiedziałeś się! Ale co dzieje się później? Urywają się wszystkie kontakty, nigdy nic można dodzwonić się do ciebie, nigdy nic ma cię w domu. Co się stało? Powtarzam: co się stało? Straciłeś do mnie zaufanie? Podejrzewasz mnie...? O co? Dlaczego? Nic rozumiem... Naprawdę nic nie rozumiem.

— Ja też nie rozumiem — powiedział inspektor cicho. — Tak już chyba jest... Taka praca.

—Aha. Praca... No dobrze, ale znamy się już dosyć długo, kilkanaście lat. Praca? — powtórzył dziwiąc się własnym słowom. Tylko praca? Myślisz, że to może coś tłumaczyć?

— Skończmy tę rozmowę — powiedział inspektor. — To naprawdę nie ma sensu. Sprawa, o której mówimy, jest już dawno nieaktualna. Jestem tutaj, chcę prosić cię o pomoc — to w tej chwili jest ważne. Tamte sprawy — to już przeszłość.

— Chciałbym w to wierzyć...

— Słowo... A teraz, gdybyś był tak dobry — inspektor zmienił ton głosu i zrobił coś do jedzenia... Jestem diabelnie głodny!

Wacław Weber roześmiał się.

— Zapomniałem o obowiązkach gospodarza — powiedział. — Przepraszam.

Wyszedł do kuchni. Inspektor wygodnie wyciągnął się w fotelu i sięgnął po gazetę, która leżała na stole. Zabrał się do lektury.

W pokoju było zupełnie cicho. Słyszać było tylko bębnienie deszczu o szyby oraz dochodzący z kuchni brzęk talerzy i syk gotującej się wody. Było również prawie zupełnie ciemno: paliła się tylko niewielka lampa na stole zakreślając mały krąg żółtego blasku. Był to teraz miły i przytulny pokój.

Ostrożnie, starając się nie robić najmniejszego hałasu. Zawadzki podniósł się ze swojego miejsca i podszedł do regalu, stojącego pod ścianą. Na trzeciej półce od góry leżała szara, kartonowa teczka. Otworzył ją. Wewnątrz znajdowały się arkusze kalki, pokryte czarnymi, drukowanymi literami. Tylko jeden zestaw był używany — nie był to jednak ten o który mu chodziło. Odłożył wszystko z powrotem na półkę. „Chorobliwa podejrzliwość — to zupełnie dobre określenie — pomyślał. Ale najłagodniejsze z możliwych”.

Wrócił na swój fotel. Po chwili w pokoju pojawiła się taca z ogromną stertą kanapek i dwie szklanki herbaty. Zabrali się do jedzenia. Potem przyszła kolej na koniak, kawę i papierosy.

Inspektor opowiedział o wszystkim.

Weber słuchał bardzo uważnie. Poważny wyraz twarzy świadczył, że jest naprawdę przejęty. W kilku bardziej dramatycznych momentach relacji z niedowierzaniem kręcił głową.

—Pomogę ci oczywiście — powiedział, gdy już opowiadanie inspektora dobiegło końca — chociaż nie wierzę, abym mógł się na coś przydać. Oczywiście samochód, mój czas, mieszkanie są do twojej dyspozycji. Cała ta sprawa — dodał — jest zupełnie niewiarygodna. Prawdziwy senny koszmar! Czy domyślasz się czegoś, podejrzewasz jakąś konkretną osobę? Bo co do mnie — przyznam, że zupełnie się w tym pogubiłem.

—Ja też — powiedział inspektor. — Niedawno temu wpadło mi do głowy, że to porwanie mogło być tylko upozorowane. Przez Hankę albo... przez Szlenka. Sam już nie wiem.

— No tak, nie zazdroszczę ci tego wszystkiego. Swoją drogą — Waclaw Weber uśmiechnął się — wszystko trochę przypomina sytuację, w jakiej ja znalazłem się przed rokiem. Los jest złośliwy, mój drogi... Sam teraz widzisz, jak to jest!

Inspektor nic nie odpowiedział.

— No, nie obrażaj się — Weber poklepał przyjaciela po ramieniu. — Nie miałem nic złego na myśli, Po prostu tak mści się traktowanie wszystkich jak przestępców... Ale powiedziałem już, że nic chcę cię dotknąć. Powinniśmy chyba rozmawiać szczerze. Prawda?

Rozdział VII

List, wrzucony przed południem do skrzynki z przesyłkami miejscowymi na pocztę głównej, zwykle następnego dnia docierał do adresata.

Jak wynikało z napisu na kopercie, adresatem tego listu był major Marek Adamiec — szef Biura Kryminalnego KG MO. Nazwiska nadawcy na kopercie nie było. Nie można było go także odnaleźć w tekście samego listu. Wyglądało na to, że autor postanowił zachować incognito. Kilka pierwszych zdań listu stanowiło zresztą próbę wyjaśnienia przyczyn takiego postępowania — autor twierdził, że po przeczytaniu całości staną się one zrozumiałe dla każdego. Sugerował również, że w chwili gdy uzna, że może być pewny swojego bezpieczeństwa, osobiście zgłosi się do komendy i złoży wyczerpujące zeznania. W obecnej chwili było to — jego zdaniem — zupełnie niemożliwe. Dalej przedstawiał pokrótce powody, dla których zdecydował się na wysłanie listu.

Nie będę udawał, że kierowałem się poczuciem obywatelskiej troski — pisał. — Nie chodzi mi także o nagrodę. Myślę, że będę najbliższy prawdy, jeżeli stwierdzę, że podstawową przyczyną była zwykła obawa o losy wszystkich, którzy mogą znaleźć się w takiej sytuacji jak pewien człowiek, którego dobrze znałem.

Nazywał się on Jerzy Malec.

Wiedziałem doskonale — stwierdzał autor listu — że Jerzy Malec przekazywał jednemu z inspektorów milicji informacje o działalności ludzi, z którymi łączyły go wspólne interesy. W zamian za to Jerzy Malec otrzymał gwarancje bezpieczeństwa i ochrony. Jak świadczą późniejsze wydarzenia, nie zdało się w na nic.

Jerzy Malec został zamordowany. Do dzisiaj — pisał dalej — nie wiadomo, kto dokonał tej zbrodni i jeszcze długo będzie to tajemnicą, o ile nie zostaną ujawnione fakty, mające dla sprawy zasadnicze znaczenie...

Zdaniem autora do takich właśnie należał fakt, iż: wspomniany inspektor, nazwiskiem Zawadzki, już od dłuższego czasu otrzymywał od Jerzego Malca poważne sumy pieniędzy w zamian za obietnicę milczenia.

Według moich obliczeń — pisał dalej — ten pracownik komendy otrzymał w sumie około dwustu tysięcy złotych i ponad tysiąc dolarów USA. Zapewne właśnie to sprawiło, że milicja dopiero po śmierci Jerzego Malca dowiedziała się o jego przestępczej działalności i udziale w aferze przemytniczej. Jest mi skądinąd wiadomo dodawał autor listu iż w zamian za zatajanie informacji i ukrywanie ważnych dowodów rzeczowych inspektor Zawadzki otrzymywał pokaźne sumy pieniędzy również od innych osób. zamieszanych w sprawę afery przemytniczej. Jestem w stanie dostarczyć na to jednoznacznych i przekonujących świadectw...

Jerzy Malec — można było przeczytać w innym miejscu — kilkakrotnie wspominał mi o wszystkim. Mówił, że nie jest w stanie zaspokajać wygórowanych żądań inspektora. Obawiał się złożyć skargę i protestować przeciwko temu jawnemu bezprawiu ze względu na osobę inspektora, który był człowiekiem zdolnym do wszystkiego.

W końcu jednak Jerzy Malec zdecydował się działać. Zawiadomił mnie o tym na kilka dni przed swoją śmiercią — stwierdzał autor listu. — Fakt, że inspektor Zawadzki cieszy się zupełną bezkarnością i nadal zajmuje swoje stanowisko świadczy, że zabitemu nie udało się doprowadzić do końca swoich zamierzeń.

Jest rzeczą oczywistą — pisał — iż Jerzy Malec nie był wzorem obywatela. Nie może być jednak wiciu miar sprawiedliwości. Powinna ona tak samo traktować przestępcę jak i prześladowającego go od lat. skorpumpowanego pracownika milicji. Dlatego też zdecydowałem się zabrać głos w tej sprawie.

Na koniec autor listu stwierdzał, iż nie ma zamiaru nadawać sprawie zbyt dużego rozgłosu, gdyby jednak jego informacje zostały zlekceważone, kopie jego listu zostaną bezzwłocznie wysłane do Prokuratury Generalnej. Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz. jeżeli zajdzie taka potrzeba, do Kancelarii Sejmu PRL.

To było wszystko. List został starannie wystukany na maszynie do pisania marki „Erika”, włożony do koperty i wrzucony do skrzynki pocztowej. Dziewiątego sierpnia rano do biura komendy dostarczył go razem z innymi przesyłkami samochód z poczty.

Przeszedł on wszystkie skrupulatne kontrole. Za pomocą specjalnego urządzenia stwierdzono, że nie zawiera żadnych materiałów mogących stanowić zagrożenie dla życia i zdrowia, potem pracownik komendy, którego zadaniem było roznoszenie poczty, zaniósł go do odpowiedniego pokoju. O dziesiątej list znalazł się na biurku sekretarki szefa biura kryminalnego. Ponieważ w rogu koperty znajdowała się adnotacja Tylko do rąk własnych. Ściśle poufne, więc list dokładnie w takiej postaci, jak został wysłany, trafił do gabinetu majora.

Major Adamiec rozpoczynał zwykle dzień pracy od przejrzenia bieżącej korespondencji. Niezwykły napis na kopercie zaciekał go — otworzył więc list i zabrał się do lektury.

Pominał kilka pierwszych zdań. będących próbą usprawiedliwienia braku nazwiska nadawcy i rozpoczął od fragmentów, zawierających bardziej konkretne dane. W miarę lektury twarz majora przybierała coraz bardziej widoczny wyraz zatroskania i powagi. Przeczytał list jeszcze raz. starając się zapamiętać podstawowe informacje, a potem nacisnął przełącznik telefonu wewnętrznego.

— Proszę połączyć mnie z wydziałem dyscyplinarnym — powiedział.

—Chwileczkę, panie majorze.

— Zaraz... — zastanawiał się przez chwilę ...jeszcze nie. Niech pani połączy mnie z pokojem numer piętnaście i poprosi sierżanta Kamińskiego.

Ostatecznie list był tylko zwykłym anonimem. W podobnych przypadkach należało wszystkie informacje traktować z dużą dozą ostrożności. Dlatego też, mimo że cała sprawa leżała formalnie w kompetencjach wydziału dyscyplinarnego, postanowił przeprowadzić najpierw dochodzenie aa własną rękę.

— Kamiński, słucham.

— Mówi major Adamiec. Zgłóście się. sierzancie, możliwie szybko do mnie. na górę. Czekam.

—Proszę połączyć mnie —mówił po chwili znowu do swojej sekretarki — z porucznikiem Kalickim... Bolek? Czcić. Mógłbyś wpaść do mnie na chwilę? Tak? Dobra, dziękuję.

Wyłączył telefon. Oczywiście, postępował w tej sprawie niezupełnie zgodnie z przepisami, ale na swoje usprawiedliwienie miał to. że list był adresowany osobiście do niego. Poza tym zawsze dbał o dobrą opinię swoich podwładnych. Obciążanie ich tak poważnymi oskarżeniami, które w dodatku oparte były na nie sprawdzonych danych, było ostatnią rzeczą, którą miał ochotę zrobić.

Po chwili odezwał się brzęczy k telefonu.

— Panie majorze, sierżant Kamiński czeka.

—Prosić.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Kamiński.

— Siadajcie, sierzancie — Adamiec wskazał wolne krzesło. — Co tam się u was ostatnio dzieje?

Sierżant przez długą chwilę usiłował odzyskać pewność siebie. Wreszcie głosem, w którym brzmiało źle ukrywane zaniepokojenie, odparł:

— Wszystko w porządku, obywatelu majorze.

— Świetnie. Czym się ostatnio zajmujecie? Zrobił zdziwioną minę.

— Od wczoraj sprawą zabójstwa. Zabity został niejaki Tomasz Szlenk. Sprawę prowadzi kapitan Zawadzki.

— No tak, wiecie już coś?

— Niewiele, obywatelu majorze. Dopiero niedawno zakończyły się wszystkie badania.

— Rozumiem. A jak pracuje się wam z kapitanem Zawadzkiem? To dosyć trudny człowiek.

— Wcale nie, panie majorze. Wszystko układa się jak najlepiej.

— No. to doskonale. Pytam dlatego major uśmiechnął się zyczliwie że kapitan znany jest z tego. że wszystko lubi robić sam. Taki już jest.

Kamiński uspokoił się zupełnie.

— Jest w tym dużo racji — powiedział bez namysłu. — Nawet wczoraj...

— Tak, słucham.

— Wczoraj byliśmy w mieszkaniu lego Szlenka. Kapitan nagle wyszedł mówiąc żebyśmy prowadzili wszystkie poszukiwania sami. Powiedział, że jest bardzo zmęczony i że idzie odpocząć. Kiedy jednak kilka godzin później zadzwoniliśmy do niego z wynikami sekcji, nikt nie odbierał telefonu. A więc zapewne był gdzieś na mieście i zajmował się dalej tą sprawą tyle że na własną rękę.

— A może po prostu wyłączył telefon, żeby mu nikt nie przeszkadzał?

Sierżant, zaskoczony zupełnie, przerwał swoją relację. Wyjąkał coś bez sensu, ale major nie dał mu dojść do słowa.

— W każdym razie cieszę się — powiedział — że kapitan ma tak lojalnych współpracowników.

Kamiński zaczerwienił się i chciał protestować — zbyto go lekceważącym ruchem ręki.

— Powiedźcie jeszcze, co dzieje się ze sprawą Malca,

— Słucham?

— Sprawa Jerzego Malca — powtórzył głośno major. — Mam nadzieję, że obilo się wam o uszy to nazwisko.

— Tak... Oczywiście...

— No więc, mówcie!

Sierżant zachowywał się jak roztargniony student podczas trudnego egzaminu. Kręcił się na krześle, spoglądał bezradnie w sufit, nerwowo przebierał palcami. Najwyraźniej usiłował zyskać na czasie.

— Sprawa Malca... no tak — wyjąkał wreszcie. — Jest jeszcze w toku...

Major bawił się swoim długopisem. Nacisnął kilka razy przycisk, obejrzał uważnie wkład, narysował na kartce kilka kółek.

— Zastanawiam się właśnie — powiedział patrząc gdzieś daleko w przestrzeń — czy nie przydałoby się wam zapoznać trochę z aktami tej sprawy. Może przy okazji uspokoiłibyście się trochę.

— Nie, skądże...

— Nie mam zbyt wiele czasu — ciągnął dalej — a chciałbym w końcu czegoś się dowiedzieć. Pracujecie u nas od niedawna — myślałem jednak, że choć trochę orientujecie się we wszystkim, Czy kapitan Zawadzki nic wam nie wspominał o tej sprawie?

— Nic. To znaczy — tak.

— Sierżancie, jak już mówiłem — mam niewiele czasu, Za dwadzieścia minut zgłosicie się u mnie z aktami sprawy Malca.

— Dobrze. Już idę. Ale czy kapitan...

— Kapitan ma na głowie ważniejsze sprawy. Kamiński wykonał przepisowe „w tył zwrot” i opuścił gabinet. Major Adamiec popatrzył ze smutkiem na zamykające się drzwi. Zachowanie i umiejętności młodych pracowników komendy już od dawna stanowiły przedmiot jego najgłębszej troski.

Te rozmyślania przerwał po chwili telefon z sekretariatu. Zameldował się porucznik Bolesław Kalicki.

Stanowił on zupełne przeciwieństwo Janusza Kamińskiego. Miał już ponad czterdzieści lat, był człowiekiem niezwykle skromnym i słynął wśród wszystkich pracowników ze swojego opanowania i dobrego humoru. W komendzie pracował od przeszło dziesięciu lat. Majora znał od dawna — kilkanaście lat temu zaczęli wspólnie pracę w komendzie miasta, potem ich drogi rozeszły się, po paru latach spotkali się znowu w tej samej instytucji.

Zanim jeszcze otworzyły się drzwi, major sięgnął do szafki i wydobyl z biurka butelkę winiaku i dwa kieliszki. Gdy porucznik usiadł, czekała na niego solidna porcja alkoholu. .

— No no. widzę, że to rzeczywiście coś poważnego — porucznik Kalicki roześmiał się — albo moja pozycja niebywale wzrosła... — wypił łyk alkoholu. — Niezły, ale zanim poproszę o drugi, powiedz, o co chodzi.

Zamiast odpowiedzi major wydobyl z szuflady szarą kopertę i położył ją na biurku.

— No dobra. Co my tutaj mamy? Aha, „do rąk własnych”, „poufne” — no, no! Pewnie jakiś anonim... — wyjął z koperty trzy kartki papieru.

— Brak podpisu — powiedział — a więc wszystko się zgadza.

Czytał przez chwilę. — Ooo! Brzydka sprawa — mruknął. Na koniec roześmiał się głośno: — Wyobrażasz sobie, Marek, co będzie, jak to dotrze do Sejmu? Co?

Zaraz jednak spoważniał. Nie ma co się oszukiwać — powiedział. — Cholerna sprawa...

— Wiem.

— Zawiadomiłeś już kogoś z dyscyplinarnego?

— Nie.

— Tak myślałem. Chcesz pewnie najpierw sam się czegoś dowiedzieć.

— Właśnie.

— Może to i dobry pomysł — zastanawiał się przez chwilę. — Oczywiście, to bzdury — znam trochę Zawadzkiego. Zawsze był dziwny, może ostatnio — jak na mój gust — trochę za bardzo, ale to zupełnie do niego nie pasuje. Gość, który to pisał, musiał mieć bujną fantazję.

— Czyżby? — mruknął major.

— No tak, nie znam dokładnie sprawy Malca, ale bardzo wiele rzeczy się zgadza. Trochę za wiele. Skąd na przykład ten gość wiedział, że Malec był człowiekiem Zawadzkiego? To jedna sprawa. Poza tym: skąd wiedział, że dopiero po śmierci Malca wyszły na jaw jego powiązania z aferą przemytniczą? A, i jeszcze jedna sprawa: on sugeruje, że to Zawadzki dokonał zabójstwa. Sugeruje, mój drogi — nie pisze wprost. Trochę to nie pasuje do zwykłego anonimu. Ten styl, to pismo — przeciętny rzezimieszek nie zadawałby sobie tyle trudu. A propos — przyjrzyj się uważnie, już od dawna nie produkuje się maszyn z takimi czcionkami. Ręczę, że będziemy mieli trudności z odnalezieniem autora tej pisaniny.

Przez chwilę obaj milczeli. Wreszcie odezwał się major:

— Powiedz mi. Bolek, co ty w ogóle wiesz o sprawie Malca. Czy Zawadzki mówił coś o tym?

Porucznik zrobił zdziwioną minę.

— To ja mam wiedzieć? Przecież to twój wydział ją prowadzi. Nie interesujesz się, co robią twoi podwładni?

—Dobra, reszty możesz sobie oszczędzić...

— Jak chcesz — porucznik dolał sobie koniaku. — No więc, zdarzyło się to rok temu. We wrześniu.

— Wiem, daj spokój szczegółom. Porucznik roześmiał się.

— Widzę, że nie znasz się na żartach. Więc powiem ci tylko, że twoi ludzie nic jeszcze nie odkryli. Przynajmniej tyle mi o tym wiadomo. Są dwaj podejrzani: jeden nazywa się Gutmann i jest właścicielem jakiegoś warsztatu naprawy samochodów. Zawadzki wzywa go regularnie na przesłuchania, ale gość jest twardy jak skała. Ciągłe tylko powtarza jakąś bajeczkę, która ma stanowić alibi. Drugi nazywa się Marian Kot. Wyobraź sobie, że następnego dnia po zabójstwie najspokojniej w świecie wyjechał do Londynu, gdzie przebywa do dziś. Zawadzki wpada w furie, ilekroć ktoś wymieni to nazwisko. Wcale mu się zresztą nie dziwię.

— Tak, słyszałem o tym. Swoją drogą mógłbyś powiedzieć mi chyba coś, czego nie wiem i to zanim wypijesz mi cały koniak.

— Dobra, uspokój się. Podobno występowaliście w tej sprawie nawet do policji angielskiej?

— Tak.

— A co z Interpolem, czy już włączył się do akcji?

—Bolek, skończ z tymi żartami.

— W porządku. No więc w komendzie mówi się, że Zawadzki ma kłopoty z tą sprawą. Wszyscy trochę mu współczują. To przecież zdolny facet. Ostatnio jednak ma pecha. Pamiętasz ten notes, znaleziony w mieszkaniu Malca?

— Uhm.

— Więc sam wiesz, jak to było. Nazwiska i adresy dobrej setki podejrzanych, ponadto wszyscy związani z tą aferą. Potem okazało się, że połowa z nich to zupełnie niewinni ludzie, którzy ze wszystkim zetknęli się zupełnie przypadkowo. Wśród nich cała masa osób... hm... wysoko postawionych. Wyobraź sobie tylko, co się działo, jak ludzie Zawadzkiego zaczęli wszystkich dokładnie sprawdzać...

— Wszystkich?

— Co do jednego. Daję głowę. Co do jednego. Wracając jeszcze do sprawy Malca — najpóźniej jutro powinien być w kraju Marian Kot. Kończy mu się paszport. Chciałem ci po prostu przypomnieć. No, nie obrażaj się. A tak w ogóle, co do sprawy tego anonimu — porucznik nagle spoważniał — to naprawdę niewiele z tego rozumiem. Moim zdaniem to początek jakiejś perfidnej historii. Kto to wymyślił i po co — nic mam pojęcia. Temu człowiekowi chodzi chyba o to, aby zrobić trochę szumu wokół Zawadzkiego. Pisze, że może dostarczyć dowodów — . Ale na razie ich nic ma. Rzecz jest o tyle paskudna, że nie ma sposobu, aby sprawdzić, czy te wszystkie zarzuty mają jakieś podstawy. Jeżeli nawet było łak, jak pisze ten facet — z góry oczywiście wykluczam taką możliwość — to i tak nic będziemy w stanie nic dowieść. Sam Zawadzki nic będzie mógł leż dowieść, że jest niewinny. I tak koło się zamyka.

— No dobrze — major zaczynał się niecierpliwić — to co w ogóle mamy zrobić?

Porozmawiać z Zawadzki. Trzeba spróbować. A poza tym mam dla ciebie dobrą radę: nie zawiadamiaj nikogo z wydziału dyscyplinarnego. Nie rób lego, o ile oczywiście nie chcesz stracić dobrego inspektora. To byłoby na razie wszystko.

— Myślę, że trzeba poczekać kilka dni — może wszystko samo jakoś się wyjaśni.

Major nawet nie starał się ukryć rozczarowania.

Kalicki pokręcił głową z rezygnacją.

— Marek, do licha, czego ty ode mnie oczekujesz? — powiedział. — Genialnych rad, tajnych wiadomości, które krążą w komendzie poza twoimi plecami, czy też może czegoś jeszcze innego? Zrozum, że w tej sprawie nie można na razie nic zrobić.

Podniósł się z krzesła.

— Cześć — powiedział cicho. Staraj się nie narobić żadnych głupstw.

Skierował się do drzwi, w połowie drogi zatrzymał się jednak, Odwrócił się do majora i scenicznym szeptem powiedział:

— Podobno Zawadzki ma kłopoty z żoną. Weź to pod uwagę.

Major roześmiał się. Kalicki mrugnął do niego porozumiewawczo, odwrócił się i wyszedł. W drzwiach minął się z Kamińskim, który od dawna czekał w sekretariacie z wielką teczką akt pod pachą.

Rozdział VIII

Punktualnie o jedenastej inspektor Zawadzki został wezwany do gabinetu swojego szefa. Kiedy wrócił po czterdziestu minutach rozmowy, wyglądał jak człowiek, który właśnie przeżył najgorsze chwile w swoim życiu. Nie zwracając uwagi na pytające spojrzenie sekretarki skierował się od razu do drzwi swojego gabinetu. Na progu zatrzymał się i martwym, cichym głosem, który doskonale pasował do szarej z niewyspania twarzy i granatowych obwódek pod oczami, powiedział:

— Pani Janeczko, na razie nie ma mnie dla nikogo. Chcę być przez chwilę sam.

Zamknął za sobą drzwi. Wolno podszedł do biurka, odgarnął na bok jakieś papiery i opierając się rękami o krawędź blatu bezwładnie osunął się na krzesło. Był zupełnie załamany. Gdy otrzymał rano wezwanie majora, miał nadzieję, że nareszcie wszystko się zakończy — tymczasem cała sprawa przybrała zupełnie nieoczekiwany obrót. Zamiast ostatecznego finału pojawiły się nowe niespodzianki, i to gorsze jeszcze od poprzednich, a najgorsze z możliwych.

Nowy dzień i od rana nowe kłopoty. Kłopoty... Można to i tak nazwać. I na dodatek ta przeklęta pogoda... Ciągłe deszcze, raptowne spadki ciśnienia wywołujące nieustanny ból głowy i przyspieszone bicie serca i przy tym jeszcze to wszystko...

Nie, to stanowczo przekraczało jego siły. Miał dosyć. Zupełnie dosyć.

Rozejrzył się dookoła. Wnętrze gabinetu wyglądało jak zawsze: stare, zniszczone meble, segregatory z aktami, brudne, dawno nic myte szyby... Znał tu każdy drobiazg. Patrzył jeszcze przez chwilę, jakby ten widok mógł dodać mu otuchy i pewności siebie, po czym nacisnął przełącznik telefonu,

— Pani Janeczko — z ulgą stwierdził, że mówi zupełnie normalnie proszę połączyć mnie z Kamińskim. Tak, dziękuję... Sierzancie, proszę przyjść do mnie na chwilę.

Wyjął papierosy. Trzeba zacząć działać. Naprawdę nie ma innego wyjścia.

Kiedy po kilku minutach w jego gabinecie zjawił się Kamiński. Zawadzki nie przypominał już w niczym załamane go i rozczarowanego człowieka, którym był niedawno temu. Wygodnie rozparty siedział za biurkiem paląc papierosa.

— Siadajcie, sierzancie — powiedział — mam do was pewną sprawę.

Kamiński, który tego dnia nie był w najlepszym nastroju i po rozmowie z majorem Adamcem nie mógł przyjść do siebie, posłusznie wypełnił to polecenie. Spodziewał się następnej porcji wymówek i oskarżeń — tym razem z ust swojego bezpośredniego zwierzchnika.

— Po pierwsze: śledztwo w sprawie Szlenka przejmuje kapitan Bartczak...

Jeżeli nawet wiadomość ta była dla niego niespodzianką, sierżant nic nie dał po sobie poznać. Nadal patrzył tępo w przeciwległą ścianę z miną człowieka, którego już zupełnie nic nie obchodzi.

— Dostałem kilka dni urlopu. Chcieliście coś powiedzieć? Nie? To doskonale. Przekażecie kapitanowi wszystkie materiały, będziecie również współpracować z nim podczas tego śledztwa. Major Adamiec uznał, że przyda wam się jednak trochę praktyki. Myślę, że pod kierunkiem tak doświadczonego pracownika, jak kapitan Bartczak, odrobicie szybko wszystkie zaległości. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

— Tak.

Doskonale. Będziecie także w dalszym ciągu zajmować się sprawą Malca.

Kamiński nie mógł ukryć zdziwienia.

— Do czasu mojego powrotu będziecie pracować nad tym wspólnie z porucznikiem Kalickim. Potem zobaczymy. To na razie wszystko. Jesteście wolni. Żegnam, sierzancie.

Kamiński powoli podniósł się z krzesła.

— Panie kapitanie — powiedział cicho — o co tu w ogóle chodzi? Czy coś się stało? Naprawdę nic nie mogę zrozumieć...

Inspektor roześmiał się.

— Ja także. Więc nie przejmujcie się za bardzo. We właściwym czasie dowiecie się wszystkiego.

Uścisnęli sobie ręce na pożegnanie i sierżant opuścił gabinet.

Inspektor został sam. Przez długą chwilę zastanawiał się jeszcze nad czymś — potem pozbiierał wszystkie papiery i schował je do szuflady. Podszedł do wielkiej szafy pancерnej, która stała w rogu pokoju. Otworzył ją, wyjął kilka teczek z aktami, które leżały na półkach i położył je na podłodze. Zamknął stalowe drzwi. Popatrz! uważnie na regały, wypełnione mniej ważnymi papierami. Rozgardiasz na półkach wydał mu się stanowczo zbyt wielki — poświęcił więc kilka minut na doprowadzenie wszystkiego do porządku. Kiedy skończył, wszystkie segregatory z aktami stały w równych rzędach, poukładane według kolejnych lat. Kilka starych paczek z papierosami, które znalazł przy tej okazji, włożył do kieszeni marynarki. Resztę nikomu nie potrzebnych drobiazgów wyrzucił bez żalu do kosza. Zamknął dokładnie okno i zaciągnął zasłony.

Rozejrzał się dookoła. Wszystko było w porządku.

Podniósł z podłogi teczkę z aktami, zarzucił sobie na ramiona płaszcz.

Otworzył drzwi i wszedł do pokoju sekretarki.

— Pani Janeczko powiedział — pani pozwoli na chwilę...

Podniosła wzrok znad swoich papierów.

— Pan wychodzi, kapitanie? — zapytała zdziwiona.

— Niezupełnie. Dostałem kilka dni urlopu, a tak zupełnie szczerze — jest to coś w rodzaju czasowego zawieszenia...

Położył na biurku teczkę z aktami.

— Ale co się stało?

— Drobiazg — uśmiechnął się bez przekonania. — Chciałbym zostawić u pani te akta. Trzeba je odebrać. Tutaj są wszystkie klucze. Gdyby były potrzebne, niech je pani przekaże komu będzie trzeba. No tak. to właściwie wszystko... Zatem — do widzenia.

— Do widzenia, panie kapitanie.

Szedł wolnym krokiem, jakby chciał zmanifestować swoją niezależność i całkowitą obojętność. Wielkimi schodami zszedł na dół, minął strażnika, który pochłonięty walką z sennością nawet ni niego nie spojrzał, i wyszedł na ulicę.

Deszcz na szczęście już nic padał — chmury przerzedziły się trochę i czasem można było dostrzec na niebie niewielkie skrawki błękitu. Oślepiiony jasnym światłem dnia zatrzymał się na chwilę i rozejrzał dookoła. Po ulicy pędziły samochody i tramwaje, wszędzie tłoczyły się tłumy ludzi. Stał parę sekund bez ruchu. Potem, starając się odnaleźć w kieszeni monetę, skierował się do najbliższego automatu.

Telefon Wacława Webera był zajęty. Spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia po dwunastej. Ni; mając na razie nic lepszego do roboty postanów! udać się na krótki spacer.

Obejrzał dokładnie wszystkie wystawy, kupił w kiosku gazetę, wysłuchał informacji dziennika radiowego dobiegających z szeroko otwartych okien, a wreszcie, kiedy doszedł do wniosku, że upłynęło już wystarczająco dużo czasu, wrócił do budki telefonicznej. Tym razem miał więcej szczęścia i już za pierwszym razem udało mu się uzyskać połączenie.

Cała rozmowa trwała kilkanaście sekund. Inspektor poprosił o jak najszybsze przybycie pod gmach komendy. Weber wyraził zgodę — żadnych pytań, wyjaśnień, wątpliwości.

Kilkanaście minut oczekiwania inspektor wypełnił lekturą gazety i obserwacją przechodniów. Gdy nadjechał szarozielony opel i rozległ się głośny dźwięk klaksonu, wolnym krokiem poszedł na parking! Waclaw Weber zatrzymał swój samochód w wąskiej zatoczce, tuż obok dwóch milicyjnych radiowozów.

— Wyglądasz dzisiaj dosyć kiepsko — usłyszał zamiast powitania.

— Doprawdy?

— Żywy trup.

— Dziękuję.

Otworzył drzwiczki i wsiadł do środka, Rozmowa zapowiadała się interesująco.

— Coś nowego się wydarzyło? — padło pierwsze, ostrożne pytanie.

— Jakbyś zgadł. Waclaw Weber z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Wreszcie przestanę ci w ogóle wierzyć — powiedział.

— Wcale bym się nie zdziwił. Wyobraź sobie inspektor postanowił uporać się jak najprędzej z wyjaśnieniami — że zostałem zawieszony w czynnościach służbowych. Tak się to oficjalnie nazywa.

Ciche gwizdnięcie mogło oznaczać wiele prawdopodobnie jednak było wyrazem zdziwienia.

— Na razie na kilka dni. Do czasu wyjaśnienia pewnej sprawy.

— Chodzi o tego Szlenka. tak?

— Bynajmniej. Dzisiaj do komendy dotarł pewien list... anonim — inspektor starał się zachować spokój, widać było jednak, że przychodzi mu to z wielkim trudem. — Ktoś oskarża mnie, że brałem łapówki. Chodzi o spore sumy... setki tysięcy złotych, nie licząc dolarów.

— Niesłychane! Nie chodzi mi o ten list — powiedział Weber — ale o to, że zostałeś zwolniony na podstawie jakiegoś anonimowego doniesienia. To skandal!

— Wcale nie. Przede wszystkim to nie zwolnienie, a czasowe zawieszenie. Poza tym takie są przepisy... Słuchaj, Wacek, żeby już nie rozwodzić się na ten temat — czy twoja oferta jest nadal aktualna?

— Oczywiście.

— Ale sytuacja się zmieniła. Muszę cię ostrzec, że od tej chwili będzie to najzupełniej prywatne działanie. Nie wiem, czy moi zwierzchnicy byliby zadowoleni z tego projektu W każdym razie jest to wbrew przepisom i możesz mieć z tego powodu dużo przykrości.

— Nie ma o czym mówić.

— No dobrze. A więc — zaczynamy. Na pierwszy ogień pójdzie niejaki Roman Gutmann. Ma warsztat naprawy samochodów niedaleko Walu Miedzeszyńskiego. Postaraj się nie porozbijać tych dwóch radiowozów, a potem pojedziemy prosto tą ulicą.

Rozdział IX

Do warsztatu prowadziła wąska, wyboista droga, pokryta czarnym szutrem. Ostatnie deszcze sprawiły, że jazda nią była karkołomnym przedsięwzięciem. Koła samochodu raz po raz zapadały się w głębokie koleiny i ześlizgiwały na gliniaste pobocze. Nadmiernie obciążony silnik wył na wysokich obrotach, jęczały amortyzatory, w środku wszystko się trzęsło i trzeszczało.

Odetchnęli z ulgą, kiedy wreszcie ukazała się ogromna żółta tablica z napisem: Roman Gutmann. Mechanika pojazdowa. Blacharstwo samochodowe. Pod rysunkiem, przedstawiającym nowy model mercedesa, znajdowała się czerwona strzałka wskazująca na niski, odrapany budynek, który stał tuż obok. Kiedy wjechali na podwórze, w oknach pokazało się kilka twarzy. Po chwili z wnętrza wyszedł niski mężczyzna, ubrany w brudny kombinezon roboczy. Długo przypatrywał się nowo przybyłym, a potem rozkładając ręce w geście powitania wykrzyknął:

— O! Pan inspektor!

Podszedł bliżej. Zawadzki otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

— Witamy, witamy! — entuzjazm w jego głosie jeszcze przybrał na sile. — W pierwszej chwili nie poznałem pana, inspektorze. To przez ten samochód. Macie coraz lepszy sprzęt! Gratulacje!

Józef Musiał wyglądał tak jak zwykle: zarośnięta twarz, małe, wiecznie myszkujące oczy, tatuaże na rękach. Do tego — jeżeliby to kogoś interesowało — opinia niezwykle sprytnego człowieka, który potrafi poradzić sobie w każdej sytuacji, i dwa wyroki na koncie. Roman Gutmann bardzo starannie dobierał sobie współpracowników.

— Niech pan się nie wysila — powiedział wreszcie Zawadzki. — Jest szef?

— Nie ma. Ogromnie mi przykro, ale wyjechał.

— Na długo?

— Na kilka dni.

— Dokąd?

— Nie mówił. Pewnie jakaś tajemnica — powiedział głośno, tak aby wszyscy mogli usłyszeć. — Mała, słodka tajemnica.

Inspektor wyciągnął z kieszeni zdjęcie Tomasza Szlenka. Była to powiększona fotografia z dowodu osobistego.

— Widział pan kiedyś tego człowieka?

Józef Musiał oglądał zdjęcie przez kilka minut. Patrzył pod światło, obracał na wszystkie strony wykrzywając przy tym twarz w błazeńskich grymasach. Miały wyrażać zdziwienie i rozczarowanie. Po chwili oddał zdjęcie inspektorowi.

— Niestety, bardzo mi przykro — — powiedział głośno. — Nie znam go. Nigdy go nawet nie widziałem. Ale czy powinienem? No, niech pan powie, inspektorze, może powinienem...

— To już wszystko — powiedział inspektor. — Jak będziemy jeszcze czegoś chcieli, dostanie pan wezwanie na komendę.

— Zawsze pan może na mnie liczyć. Zawsze do usług. Polecamy się.

Inspektor odwrócił się i ruszył do samochodu. Miał już otworzyć drzwi, gdy nagle zatrzymał się, jakby przypomniał sobie coś ważnego.

— Panie Musiał...

— Tak?

Podszedł bliżej. Nachylił się tak, że Zawadzki z łatwością mógł poczuć odór alkoholu, wydobywający się z ust swojego rozmówcy.

—Panie Musiał, mam sprawę. Prywatnie.

— Prywatna sprawa? Dla pana inspektora wszystko! — krzyk Józefa Musiała mógłby obudzić umarłego. W promieniu paruset metrów słycać było każde słowo.

— Ten samochód należy do mojego znajomego. Chyba puścił lewy amortyzator. Mógłby pan przystać kogoś, kto by się tym zajął?

— Dla pana inspektora wszystko! Pan inspektor oczywiście wolałby — Józef Musiał mówił teraz prawie szeptem — żeby to był jakiś łebski chłopak? Prawda?

Inspektor nic nie odpowiedział.

—Robi się.

Odszedł kołyszącym się krokiem. Po chwili w drzwiach warsztatu ukazała się nowa postać. Był to młody chłopak — na pierwszy rzut oka wyglądał na około dwudziestu lat. Podobnie jak poprzednik ubrany był w kombinezon, który już z daleka zalatywał zapachem benzyny i smaru. W ręku niósł torbę z narzędziami.

—Niech pan powie znajomemu, żeby wprowadził wóz do warsztatu. Zaraz otworzę drzwi.

— W porządku,

Inspektor zapukał w szybę po stronie kierowcy. Szykuje się drobna naprawa — powiedział. Pojedziesz prosto, tam gdzie te drzwi. Powiesz krótko, o co chodzi. Lewy amortyzator. O resztę już ja będę się martwił.

Wacław Weber nie wyglądał na uszczęśliwionego.

— Jeżeli to konieczne... Mam nadzieję, że po tej naprawie nie będziemy musieli wracać pieszo.

Drzwiczki zatrzasnęły się i samochód ruszył wolno w stronę budynku. Zawadzki obserwował przez chwilę, jak jego przyjaciel daje sobie radę z ustawieniem samochodu na wąskim podjeździe kanału i jak rozmawia z mechanikiem. Potem wszedł do środka.

Było to niskie, ponure pomieszczenie. Pod ścianami leżały sterty blachy, narzędzia i wielkie puszki lakierni. Dwa stanowiska obsługi były zajęte — stały tam samochody, widocznie w trakcie naprawy. Sądząc po ilości kurzu i brudu, który pokrywał ich karoserie trwała ona dosyć długo.

Pod drzwiami zauważył kilka pustych butelek po wódce. Jak świadczyły odgłosy libacji dochodzące spoza drzwi, które prowadziły na zaplecze, wszyscy pracownicy mieli wolny dzień. Podeszedł do swojego przyjaciela.

— Załatwione?

— Uhm.

Z kanału, na którym stał samochód, sączył się nikły blask lampy, od czasu do czasu można było usłyszeć brzęk narzędzi. Wyglądało na to, że mechanik zabrał się już do pracy.

— Czy mam wyjść? — zapytał Waclaw Weber.

— Jak chcesz.

Skierował się w stronę samochodu.

— Halo! — krzyknął.

Hałas ucichł na chwilę. W szczelinie między podwoziem a betonową podłogą ukazała się twarz mechanika.

— Pan coś mówił?

— Owszem. Powiedziałem, że bardzo u was wesoło.

Milczenie. Mechanik najwyraźniej nie miał ochoty na rozmowę.

— Nazywacie się Adamiak, prawda? — inspektor uśmiechnął się przyjacielsko.

Żadnej reakcji.

— Sporo o was wiemy — znowu życzliwy uśmiech. Tak jak o wszystkich, którzy tu pracują.

Znowu nic.

— Będziesz miał kłopoty, chłopcze. Naprawdę poważne kłopoty...

Demonstracyjne splunięcie. Jak na początek nie było złe.

— Kradzież części...

— Panie, pan to mi może...

No rozmowa nareszcie się rozkręciła.

Inspektor sięgnął po papierosy. Otwarcie nowej paczki i poszukiwanie zapalek zajęło mu sporo czasu. Jego rozmówca nie okazywał jednak żadnych oznak zniecierpliwienia. Wszystko było na dobrej drodze.

— Słuchaj, gówniarzu, masz jedyną szansę, żeby wygrzebać się z tego wszystkiego. Nie rób trudności.

Inspektor zaciągnął się głęboko dymem, a potem z całym spokojem powoli wydmuchnął go w twarz rozmówcy.

—No!?! Co? O co chodzi?

— Dobra! Kradzież części — raz. Sprzedaż kradzionych części — dwa. Współdział w przemyśle, a może i... kto wie... w zabójstwie. Starczy?

—Panie inspektorze... Ja naprawdę... —Adamiak z trudem wygramolił się z kanału. — Ja naprawdę nie wiedziałem... Myślałem...

— Myślałem! Chłopie, od dawna mamy na oku cały ten bajzel! Nie widzisz, co się dzieje? To ma być warsztat? Jeden wspólnik okrada drugiego, wszystko się wali — a ty jeszcze bierzesz w tym udział...

Chłopak splunął znowu. Prawdopodobnie była to jego ulubiona forma wyrażania uczuć. Tym razem był to objaw rezygnacji. Na to czekał inspektor.

—Gdzie jest Gutmann? — zapytał.

—Wyjechał gdzieś na Wybrzeże — powiedział chłopak cicho. — Zdaje się, że do Gdańska.

— Aha. Kiedy?

— Wczoraj po południu — głos zniżył do szeptu Albo Władysław Adamiak obawiał się, że ktoś może ich usłyszeć, albo nie mógł jeszcze przeboleć zawodu, jaki sprawił swoim mocodawcom. Może zresztą chodziło o jedno i o drugie. — Wyjechał z miasta około piątej. Ktoś powiedział, że jedzie do Gdańska.

—Nie wiesz, po co pojechał?

— Nie.

— Nikt nie mówił nic na ten temat?

— Nie.

Inspektor sięgnął do kieszeni i wydobyl fotografię Tomasza Szlenka.

— Znasz go?

— Tak. Ten człowiek był u nas kilka razy. Z wizytą u szefa. Mówili do niego: „pan Tomek”. To wszystko, co wiem.

— Dobra — inspektor kiwnął głową bardzo mi pomogłeś. Dziękuję. Kończ ten przegląd, bo za chwilę wyjeżdżamy. I pamiętaj o tym co ci mówiłem...

Podali sobie na pożegnanie ręce. Prawdziwy wersal

Inspektor wyszedł przed warsztat. Pod ścianą stał Weber i palił papierosa. Wyglądał na znudzonego.

—Zaraz jedziemy.

— W porządku.

W drzwiach warsztatu ukazał się teraz Józef Musiał. Niepewny chód i czerwona twarz świadczyły, że przez cały czas bawił się wspaniale. Podeszedł do inspektora.

—Jak się udała naprawa? zapytał bełkotliwym, pijackim głosem.

— Świetnie.

M rugnął porozumiewawczo. —A reszta?

— Też dobrze.

— Panie inspektorze — powiedział szeptem taki warsztat to świetna rzecz. No, nie? Sam pan widzi, co się tutaj teraz dzieje, ale drań jest ciągle twardy jak skała. Nie chce go sprzedać.

Inspektor nic nie odpowiedział.

— W każdym razie trzeba sobie pomagać. Prawda?

— Uhm.

Na mnie może pan inspektor zawsze liczyć.

— Już dobrze — Zawadzki miał naprawdę dosyć tej rozmowy. Mimo że w jego pracy zdarzały się o wiele gorsze rzeczy, czuł, że zaczyna go mdlić. Wyciągnął z kieszeni dwa banknoty.

— Tutaj jest dwieście złotych. Tyle należy się za przegląd.

— Ależ, panie inspektorze!

— No, bez gadania!

Wręczył pieniądze. W zamian otrzymał starannie wypełniony kwil podpisany przez mechanika. Wsiadł do samochodu.

Kiedy znaleźli się już na głównej drodze, daleko od warsztatu i ludzi, którzy w nim pracowali. Wacław Weber powiedział:

— Przyznam, że nie rozumiem kilku rzeczy. Ten Musiał zachowuje się dosyć dziwnie: najpierw jak typowy opryszek, później jak twój stary przyjaciel. O czym rozmawialiście?

Inspektor roześmiał się.

— O kupnie warsztatu, mój drogi. Pan Musiał ma na to wielką ochotę, dlatego robi wszystko, żeby mi pomóc. Orientuje się doskonale, że Gutmann zabrnął już za daleko w swoich machinacjach, ale oficjalnie chce być wobec niego w porządku. Więc pomaga inaczej. Można i tak.

Rozdział X

— Dokąd teraz jedziemy?

— Na Grochów, ulica Kinowa — inspektor wyciągnął się w fotelu. — Odwiedzimy znajomych Hanki.

Po dwudziestu minutach znaleźli się przed kilkunastopiętrowym blokiem przy ulicy Kinowej. Mieszka! tutaj niejaki Stanisław Lipiński — znajomy żony inspektora jeszcze z okresu studiów. Zawadzki znalazł go tylko z opowiadań. Przystojny, inteligentny, wspaniały kolega bardzo był ciekawy, czy choć część tych en-

tuzjastycznych opinii okaże się zgodna z prawdą. Zawsze podejrzewał, że w stosunku do tego osobnika jego żona nie mogła zdobyć się na pełny obiektywizm.

Stanisław Lipiński był, jak się okazało, najzupełniej przeciętnym młodym człowiekiem, który niedawno skończył studia i jeszcze nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Mieszkał razem z matką w małym, dwupokojowym mieszkaniu. Zarówno jego inteligencja, jak i wygląd nie zrobiły na inspektora większego wrażenia. Trzeba jednak przyznać, że przyjęto ich bardzo gościnnie, co po ostatniej wizycie było przyjemną odmianą.

Gdy usiedli już przy stole i wypili po filiżance kawy, zaproponowanej przez gospodarzy, inspektor z lekkim uczuciem żalu przystąpił do rzeczy.

— Przede wszystkim — rozpoczął — jak państwu zapewne doskonale wiadomo, jestem pracownikiem milicji. Mówiąc ściślej, pracuję w komendzie głównej i jestem inspektorem biura kryminalnego. Od razu chciałbym wyjaśnić, że dzisiejsza wizyta nie ma tylko charakteru towarzyskiego.

Rozejrzał się dookoła. Ani Stanisław Lipiński, ani jego matka nie sprawiali wrażenia poruszonych specjalnie tą wiadomością. W dalszym ciągu przypatrywano mu się z zainteresowaniem, czekając zapewne na dalsze informacje.

— Mam nadzieję — mówił dalej — że państwo będziecie mogli pomóc mi trochę. Muszę uprzedzić — uśmiechnął się — że zapewne moi koledzy złożą państwu również wizytę. Zajmuję się tą sprawą... no cóż... zupełnie nieoficjalnie. Ponieważ jednak dotyczy ona również mojej żony, zdecydowałem, że powinienem coś zrobić...

Wyjaśnienia te, jak mógł się zorientować, zostały przyjęte z pełnym zrozumieniem.

— Przede wszystkim — zwrócił się do Stanisława Lipińskiego — mam kilka pytań do pana. Czy zna pan tego człowieka? — położył na stole fotografię, którą pokazywał już w warsztacie Gulmanna.

Stanisław Lipiński patrzył przez chwilę, a potem skinął głową.

— Tak. To jest Tomasz Szlenk.

— Zgadza się. Ten człowiek został wczoraj zamordowany.

Stanisław Lipiński wstrząsnął się jak porażony prądem, jego matka szeroko otworzyła usta i z lękiem spojrzała na gości. Inspektor dał im całe pół minuty na przyjście do siebie, a potem zadał następne pytanie;

— Czy mógłby pan powiedzieć o nim coś więcej? Na przykład kiedy i gdzie pan go poznał?

Stanisław Lipiński odetchnął głęboko.

— Tak, oczywiście. Kilka lat temu, Studiował na naszym wydziale byliśmy na tym samym roku.

— Czy utrzymywaliście ze sobą bliskie stosunki? Skądże. Nie należy chyba źle mówić o

zmarłych, ale nigdy nie darzyłem go sympatią. Mówiąc szczerze była to dosyć odrażająca postać. Trudno nawet dokładnie określić, dlaczego. Wie pan. był taki niesłychanie śliski. Ciągłe miał przyklepiony na twarzy taki głupi, protekcyjny uśmieszek. Poza tym ta jego usłużność... wręcz ugrzecznic... Są ludzie, o których się mówi, że ugrzecznienie jest jedyną obroną przed wyrzuceniem ich za drzwi. On właśnie był laki.

— Rozumiem.

— Poza tym pozował na wielkiego człowieka interesów — . Wszystko mógł załatwić, wszędzie miał znajomości taki rekin finansjery. Rzeczywiście, wdziałem go kiedyś na mieście w towarzystwie dosyć podejrzanych typów, więc zapewne nie była to tylko poza,..

— Tak. A nie zdziwiło pana, że Hanka utrzymywała z nim stosunki?

—Trochę. Ale z tego, co wiem, ona traktowała to też jako zwykłą znajomość.

— No tak, a czy pani — inspektor zwrócił się do pani Lipińskiej widziała kiedyś Tomasza Szlenka?

— Nie. skądże. Nigdy nie bywał u nas. Nagła wymiana spojrzeń pomiędzy matką i synem, która miała teraz miejsce, zapewne coś oznaczała. Inspektor szybko opuścił wzrok i zabrał się do poszukiwania papierosów. Jeżeli zechcą coś powiedzieć — to powiedzą. Jeżeli nie — nie powiedzą. Było to bardzo proste. Lipiński roześmiał się głośno.

— Zdaje się — powiedział — że ani ja, ani matka nie mamy talentu konspiratorów. Skoro jednak rzecz się wydała — swoją drogą jest pan niezwykle spostrzegawczy — to musimy chyba wszystko powiedzieć. Zwłaszcza, że chodzi o tak ważne dla pana sprawy.

Inspektor udał, że nie rozumie o co chodzi. Nie chciał powiększać i tak już wielkiego zakłopotania pani domu.

—W końcu nie jest to żadne wielkie przestępstwo. Po prostu kiedyś Hanka powiedziała nam, że Szlenk ma do sprzedania trochę wyrobów ze złota po niezwykle korzystnej cenie. Matka chciała je obejrzeć, więc pańska żona przyprowadziła go tutaj. No i zawarliśmy tę transakcję.

Inspektor zademonstrował teraz całe swoje opanowanie i odporność. Machnął lekceważąco ręką. uśmiechnął się pobłaźliwie, dając do zrozumienia, że takie błahostki nie są w stanie w ogóle go za interesować, po czym zajął się zapalaniem papierosa

Uważny obserwator spostrzegłby zapewne, że nieco zbladł i że drżą mu ręce; zdziwiłby się zapewne, że lak banalna czynność może wywoływać tak gwałtowną reakcję na szczęście jednak nikt z obecnych nie wydawał się uważnym obserwatorem.

— To oczywiście drobiazg — powiedział po chwili inspektor ma pan rację. To naprawdę nic ważnego popatrzył gdzieś w kierunku okna. — Mam jednak prośbę...

— Tak?

—Jeżeli nie zrobi to państwu kłopotu — czy mógłbym obejrzeć te przedmioty? Właściwie tylko dla porządku...

— Ależ oczywiście.

Pani Lipińska podniosła się ze swojego miejsca i poszła do przedpokoju. Mimo wszystko była zdenerwowana. W jednej chwili przyjemny, swobodny nastrój tej rozmowy gdzieś się ulotnił.

Po chwili Lipińska wróciła. W ręku niosła płócienny woreczek, który dotąd spoczywał zapewne ukryty głęboko na dnie bielizniarki. Wysypała jego zawartość na stół. Inspektor poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. To co leżało teraz na białym obrusie, było ponad wszelką wątpliwość zrobione z tureckiego złota. Były to cztery niewielkie łańcuszki. Setki identycznych znajdowano swojego czasu podczas rewizji u uczestników afery przemytniczej. Były w specjalnych skrytkach w bagażu, stanowiły główną zawartość prywatnych banków. Nie mogło być żadnych wątpliwości. Wziął do ręki jeden z łańcuszków. Kolor, ciężar

— wszystko się zgadzało. „A więc — pomyślał — pan Szlenk był jednak sprytniejszy, niż nam się wydawało”.

— Dziękuję bardzo powiedział, starając się ukryć drżenie głosu to rzeczywiście nic ważnego. Bardzo przepraszam za kłopot.

— Mam nadzieję, że trochę panu pomogliśmy — odezwał się Stanisław Lipiński.

— Naturalnie.

— Niech pan pozdrowi od nas Hankę.

— Dziękuję. Jeżeli można... — słowa po prostu nie mogły przejść mu przez gardło — ...jeżeli można... Naprawdę jest mi ogromnie przykro, ale niestety... państwo rozumieją... będę musiał przekazać informację o całej tej sprawie... Może nawet będą państwo mieli z tego powodu trochę przykrości... Proszę zrozumieć...

No cóż... rozumiemy — powiedział Stanisław Lipiński. — Taka praca... Do widzenia panu.

— Do widzenia.

Wacław Weber uśmiechał się ni to przepraszająco, ni to obojętnie. W chwilę później znaleźli się w samochodzie.

— Dokąd teraz? — zapytał.

— Na dzisiaj dosyć. Jedziemy na obiad.

— Nareszcie.

Kiedy skręcali z ulicy Kinowej w Waszyngtona, na skrzyżowaniu minął ich zielony fiat. Inspektor nawet nic pofatygował się. aby spojrzeć na numer rejestracyjny. Było to zupełnie zbyteczne. Za szybą dostrzegł bowiem wyraźnie charakterystyczną sylwetkę sierżanta Kamińskiego. Kazem z nim były jeszcze irzy osoby. Mógł iść o zakład, że jedną z nich jest kapitan Bartczak i że państwo Lipińscy znowu będą mieli gości.

Rozdział XI

— Mieliśmy dzisiaj sporo szczęścia...

— Doprawdy?

Wacław Weber nie sprawiał wrażenia specjalnie zainteresowanego tą wiadomością. Kończył właśnie swój stek i. jak się wydawało, była to jedyna rzecz, która w tej chwili zaprzętała jego uwagę. Ponura i pełna przymusu atmosfera, która towarzyszyła im od początku tego obiadu, stawała się coraz cięższa i trudniejsza do zniesienia. Nie pomagało ani dobre jedzenie, ani znakomita obsługa, ani wysiłki inspektora, który usiłował zabawiać rozmową swojego gościa. Wacław Weber najwyraźniej stracił zupełnie humor.

— Naprawdę bardzo mi pomogłeś — spróbował raz jeszcze inspektor — Sam chyba nic dałbym sobie rady...

—O! Mój udział był bardzo skromny. Poza tym co za przyjemność: podziwiać detektywa w akcji!

Krzywy uśmiezek, ironia w głosie — nie. inspektor od dawna nie zwraca) uwagi na takie drobiazgi. Weber nie dawał jednak za wygraną.

— Byłeś naprawdę w szczytowej formie. Gratulacje! Zwłaszcza z panią Lipińską poszło ci znakomicie. Rozniosłeś ją w strzępy!

Inspektor marzył tylko, aby jak najszybciej pożegnać swojego gościa. Niestety, nigdzie nic mógł dostrzec kelnera, który ich obsługiwał i zanim udało mu się uregulować rachunek i opuścić lokal, musiał wysłuchać jeszcze kilku kąśliwych uwag pod swoim adresem. Pożegnali się bardzo chłodno. Inspektor stanowczo odrzucił propozycję odwiezienia do domu. Powiedział, że ma jeszcze kilka ważnych spraw do załatwienia i nie chce nadużywać uprzejmości kogoś, kto i tak okazał już wiele poświęcenia, asystując przy poczynaniach, które niestety niewiele mają wspólnego z delikatnością i taktem, okazywanymi zawsze i wszędzie przez pracowników biur projektowych.

Wacław Weber odpowiedział także coś w tym duchu i tak obrażeni na siebie rozstali się.

Inspektor szybkim krokiem ruszył przed siebie. Dochodziła piąta, a on miał rzeczywiście kilka spraw do załatwienia. Przede wszystkim musiał kupić nowy aparat telefoniczny. Po długich poszukiwaniach odnalazł wreszcie sklep, w którym udało mu się nabyć ohydny, kanarkowo żółty aparat o kształtach wyjętych jakby żywcem z filmu fantastyczno — naukowego. W ten sposób przynajmniej jeden problem — nawiązanie kontaktu ze światem zewnętrznym — został pomyślnie rozwiązany. Zrobi! przy okazji trochę zakupów w sklepie spożywczym.

Do domu dotarł około siódmej. Obładowany pakunkami stał przez dłuższą chwilę pod drzwiami denerwując się, że nikł nie odpowiada na dzwonek. Dopiero później zdał sobie sprawę, że w środku nie ma nikogo. Otworzył drzwi. W mieszkaniu unosił się nadal ciężki zapach dymu tytoniowego — pozostałość po kilkunastu papierosach, które wypalił przed zaśnięciem. Otworzył szeroko okna, pozapalał światło we wszystkich pokojach, rzucił torby z zakupami na podłogę i wygodnie rozsiadł się w fotelu.

Chociaż przez chwilę musiał odpocząć. Jak na jeden dzień miał zupełnie dosyć wrażeń: anonim, rozmowa z szefem, wizyta w warsztacie, nic kończące się rozmowy, pytania, odpowiedzi, podejrzenia, winni, niewinni, przyjaciele, wrogowie. Dosyć... W każdym razie mógł sobie pogratulować rezultatów — fakty zaczynały nareszcie wiązać się w jakąś całość. Dowodziło to, że metody, które tak raziły jego przyjaciela, były skuteczne. A to liczyło się teraz najbardziej.

Zapalił papierosa i jeszcze przez długą chwilę siedział nieruchomo, zastanawiając się nad dalszymi poczynaniami. Potem podniósł się z miejsca i poszedł nastawić wodę na herbatę. Był już najwyższy czas na kolację.

Ponieważ woda długo nie chciała się zagotować, postanowił pożytecznie wykorzystać te parę minut. Rozpakował paczkę z aparatem telefonicznym i zabrał się do jego instalowania. Gdy tylko podłączył kabel do gniazdka, dzwonek telefonu zabrzączał głośno. Chwila ciszy i znowu donośny, nieprzerwany terkot. Podniósł słuchawkę.

— Z kapitanem Zawadzki proszę — niski głos można było z łatwością rozpoznać wśród tysięcy innych. Należał bez wątpienia do sierżanta Kamińskiego.

— Zawadzki, słucham.

—To pan, kapitanie? Od godziny usiłuję się do pana dodzwonić... Mam nowe informacje. Chyba ważne!

— No, mówcie.

— Wolałbym nie przez telefon.

— Jeżeli tak, to przyjdźcie do mnie do domu. Czekam.

Odłożył słuchawkę. Radosny ton głosu jego podwładnego mógł budzić zdziwienie. Zapewne wydarzyło się coś rzeczywiście ważnego, skłaniając nieskorego do entuzjazmu sierżanta do tak niezwyklej reakcji.

Przygotował szklanki, cukier i łyżeczki. Po chwili namysłu wyjął również z kredensu kieliszki i butelkę koniaku. Zrobił trochę porządku w pokoju. Oceniając nawet najbardziej krytycznie swoje dzieło mógł mieć powody do satysfakcji. Mieszkanie może jeszcze nie bardzo nadawało się do przyjmowania gości, ale wyglądało jak zwykle, normalne mieszkanie. To było zupełnie wystarczające.

Kamiński nie dał na siebie długo czekać. Po piętnastu minutach przy drzwiach rozległ się dźwięk dzwonka. Inspektor odczekał kilkanaście sekund, a potem poszedł otworzyć.

— Panie kapitanie, niesamowita historia! Kamiński istotnie sprawiał wrażenie człowieka pełnego radości i entuzjazmu. — Niesamowita historia — powtórzył głośno.

— Wejdźcie. Kawę czy herbatę? — zapytał, idy znaleźli się w pokoju.

— Kawę, jeśli można.

— Siadajcie.

Kamiński nie skorzystał z propozycji. Jak cień poszedł za inspektorem do kuchni i z widocznym zniecierpliwieniem obserwował, jak tamten napełnia filiżanki brunatnym proszkiem i nalewa wodę. Niemal wyrwał z rąk inspektora tacę i zaniósł ją do pokoju. Potem usiadł przy stole i wbijając w twarz swego rozmówcy roziskrzony wzrok powiedział:

— Dzisiaj po południu był telex z Londynu. Inspektor skinął głową.

— Są nowe informacje w sprawie Mariana Kota.

— No?

Jak sztukmistrz pewien efektu, jaki wywołał: go nowy numer, sierżant zawiesił na chwilę głos, |o czym powiedział wolno i wyraźnie:

— Marian Kot już od dawna nie przebywa w Anglii. Jest w Polsce!

Inspektor sięgnął po butelkę z koniakiem i napełnił kieliszki.

— Dobrze wam to robi — powiedział cicho. — A teraz zacznijcie po kolei.

— Oczywiście. No więc — zastanawiał się przez chwilę Angliacy aresztowali dwa miesiące temu pewnego człowieka. Naszego rodaka, który dorabiał sobie kradzieżami w hotelach. Nazywa się Lewandowski i jest to znaczy był — studentem. Pracował jako portier, sprzątaczkę, kelner. poza tym interesował się bardzo bagażami gości. Brał pieniądze, kosztowności, no i dokumenty.. Angliacy sporządzili cały rejestr skradzionych przez niego paszportów, książeczek prawa jazdy itp.

Otóż trzeba trafić, że podczas, gdy nasz znajomy pracował w pewnym hotelu przy Harfs Court, pewnemu gościowi, obywatelowi Szwecji, zginął paszport. Pan Henriksson, przemysłowiec, lat 38. zawiadomił od razu swoją ambasadę. Było to — Kamiński spojrzał w swoje notatki dokładnie 14 września. Dwa dni

później, szesnastego. Jan Henriksson. obywatel szwedzki, przyłynął do Gdańska promem ze Sztokholmu, przekroczył granicę i ślad po nim zagaął. Jakby rozplynął się w powietrzu. Teraz puenta: Lewandowski doskonale znał Mariana Kota jeszcze i kraju, robili razem jakieś interesy. Anglicy twierdzą, że widywano ich razem również w Londynie. Aha! Jeszcze taki drobiazg: rysopis Henrikssona bardzo przypomina rysopis Mariana Kota. Co pan na to, kapitanie?

Inspektor pociągnął łyk alkoholu.

— Niesamowita sprawa — powiedział. — Nigdy bym nie przypuszczał, że ten człowiek okaże się tak niesłychanie sprytny. W jego sytuacji powrót do kraju był rzeczywiście najlepszym rozwiązaniem. Nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby tutaj go szukać.

— No właśnie.

— Zwłaszcza po tym nagłym wyjeździe — dodał — który udał się niemal cudem.

— Panie kapitanie — odezwał się sierżant — czy pan wie, kiedy to się stało? Myślę o kradzieży tego paszportu. Dokładnie w tydzień po przyjeździe Mariana Kota do Londynu. Dwa dni później był już w Polsce, a my jeszcze zastanawialiśmy się, czy wysłać odpowiednie pismo do policji angielskiej. Dobre, co?

Inspektor nic nie odpowiedział. Zastanawiał się nad przebiegłością przeciwnika, którego do tej pory w ogóle nie brał pod uwagę w swoich kalkulacjach. No tak, jeżeli założyć, że przez cały czas Marian Kot był w kraju i miał nawet ograniczoną swobodę działania to wiele spraw ukazywało się w zupełnie nowym świetle. Błąd! Najzwyklejszy w świecie błąd!

— Daliśmy się wywieść w pole powiedział. Wszystko w tej sprawie szło dobrze, zgodnie z zasadami... No i klops. Tak czasem bywa.

Kamiński pokręcił głową.

— Trzeba przyznać, że gość miał sporo szczęścia. Najpierw ten wyjazd, potem paszport...

Nieprawda. Oczywiście myślę tylko o paszporcie. Hotele pełne turystów — sezon. Szwedów czy Austriaków podobnych do Mariana Kota musiało być w Londynie bardzo wielu. Zręczny współnik i naprawdę nie ma problemów. Jeżeli ktoś miał w tej sprawie szczęście — to tylko my! Pomyślcie: gdyby nie wpadka Lewandowskiego, do dzisiaj byśmy o niczym nie wiedzieli. To martwi mnie najbardziej.

— Racja.

— No dobrze, a teraz do rzeczy. Co zamierzacie robić dalej?

— Jeszcze nic wiem — Kamiński zaczął zdradzać oznaki zaniepokojenia. Porucznik Kalicki nic wspominał mi nic o swoich planach. Zapewne zostaną rozpisane listy gończe i rozpocznie się jakaś akcja na dużą skalę.

— Ach tak!

— Nie wiem nic dokładnie. To tylko moje przypuszczenia

— Rozumiem,

Z każdą chwilą entuzjazm sierżanta zdawał się przygasać. Pewnie zastanawiał się, czy i tak nie powiedział za wicie. Ostatecznie jego rozmówca nic był już pracownikiem komendy i nie było wiadomo, do jakiego stopnia można było obdarzać go zaufaniem.

Inspektor uśmiechnął się z przymusem.

— Interesuje mnie bardzo — powiedział — jeszcze jedna sprawa. Nie obawiajcie się — to nic ważnego. Chciałbym się tylko upewnić, jaka jest trasa tego promu. Kursuje, jak powiedzieliście, pomiędzy Sztokholmem a Gdańskiem. Tak?

— Tak.

Doskonale. Będę miał w związku z tym pewną prośbę. Chodzi o bilet lotniczy do Gdańska. Na jutro rano. Możecie to załatwić?

— Bilet?

— Tak, jak słyszeliście. Oczywiście zanim zainicjujecie coś robić, porozumcie się z porucznikiem Kalickim. Powiedzcie, że kapitan Zawadzki zamierza jutro być w Gdańsku i w tym celu potrzebny mu jest bilet lotniczy. Czy to jasne?

— Tak.

— Świetnie. Możecie także opisać dokładnie przebieg naszej rozmowy. Macie na to moje zezwolenie.

— Ależ...

— No, no, bez niepotrzebnych ceremonii. Obaj wiemy, jak wygląda sytuacja. To chyba wszystko. Dziękuję wam za wizytę. Wiadomości rzeczywiście były sensacyjne — dodał widząc zmartwioną minę sierżanta — i bardzo ważne. Dziękuję.

Rozstali się z ulgą. Od pewnego czasu spotkanie nabrało niezbyt przyjemnego charakteru: były podwładny, były zwierzchnik, cała sprawa — a z zawieszeniem, wreszcie historia z biletem trudno było przejść nad tym wszystkim do porządku i udawać, że się nic nie stało.

Inspektor nic zastanawiał się nad tym długo. Posprzątał puste szklanki i kieliszki. Wyrzucił do śmieci zawartość popielniczki. Otworzył szeroko okna, aby wywietrzyć zapach dymu z papierosów. Kiedy po jego gościu nie pozostało najmniejszego śladu, usiadł w fotelu i zabrał się do lektury gazety — Nagle znowu zadzwonił telefon. Był to Waclaw Weber.

— Chciałbym cię bardzo przeprosić — usłyszał w słuchawce zamiast powitania. — Zastanowiłem się trochę dłużej nad tym wszystkim i doszedłem do wniosku, że... no, że masz jednak rację...

— Tak?

— Zapomniałem o twojej sytuacji. Zapomniałem o wszystkim. Po prostu nerwy. Tak więc, jeżeli jutro będę potrzebny — chętnie służę.

— Nie, dziękuję bardzo, ale to zbyteczne. Jutro nie będzie mnie w Warszawie.

— Ach tak. A dokąd się wybierasz?

— Do Wrocławia. Lecę jutro do Wrocławia. Mam już umówione spotkanie. Gdybyś miał jednak trochę czasu, wpadnij wieczorem. Mam kawę, koniak — porozmawiamy.

— Chętnie.

— Wieczorem na pewno będę już w domu. Powiedzmy, o siódmej.

— Zgoda. Zatem do jutra.

Odłożył słuchawkę. Gdańsk, Wrocław — co za różnica. Zawieszony czy nie zawieszony — był w końcu milicjantem. Ujawnianie szczegółów prowadzonego śledztwa było czymś zupełnie niewłaściwym. Chociaż w stosunku do najbliższego przyjaciela... jedyne go człowieka, na którego mógł obecnie liczyć, była to zapewne nadmierna ostrożność... Ale cóż — patologiczna podejrzliwość; te dwa słowa wracają niczym refren. Zastanawia! się jeszcze nad tym wszystkim, w końcu uzna! jednak, że nie ma sensu tracić czasu na ponure i przykre rozmyślania. Postanowi! wziąć prysznic i położyć się spać. Widok, który ujrzał w lustrze nad umywalką, nie należał do przyjemnych: worki pod oczami, szara ze zmęczenia twarz starego człowieka, który ma już wszystkiego najzupełniej dosyć. Twarz, o której można powiedzieć wicie, ale na pewno nie to, że budzi sympatię i zaufanie.

Rozdział XII

Odlot samolotu opóźnił się o godzinę. Razem z małą grupką zawiedzionych pasażerów inspektor siedział w małym barku na lotnisku i popijał gorącą kawę. Właśnie przed chwilą miły kobiecy głos zapowiedział przez megafony, że z powodu złych warunków atmosferycznych start na razie nie może się odbyć. Popatrzył w okno. Czarne chmury, które sunęły nad ziemią, zdawały się dotykać dachów, padał gęsty deszcz i było bardzo zimno. Gdyby to od niego zależało, w ogóle odwołałby wszystkie loty. Przy tej pogodzie zakrawały one na szaleństwo. Wypił tyk kawy, która smakowała jak zupa w proszku, i pogrążył się znowu w ponurych rozmyślaniach.

Przez następne pół godziny zdążył jeszcze wypić następną kawę i wypalić dwa papierosy. Ponadto zrobił kilka wycieczek do informacji, uregulował swój zegarek z dokładnością do kilku sekund w stosunku do zegara wiszącego w poczekalni, zagrał w elektryczny bilard tracąc ostatnie drobne. O dziewiątej megafony odezwały się znowu. Opóźniony samolot miał za chwilę odlecieć.

Zerwał się ze swojego miejsca i jako jeden z pierwszych ustawił się w długiej kolejce. Po kilkunastu minutach był już w samolocie. Silniki warczały na pełnym gazie, w kabinie pasażerskiej wszystko trzęsło się tak, jakby za chwilę miała nastąpić jakaś wielka katastrofa, zdenerwowani podróżni ssali swoje cukierki — tymczasem jednak nic działo się nic. Dopiero po denerwująco drugim rozgrzewaniu silników' i kręceniu się po pasach wystartowali.

Gęste, zawiesiste chmury od razu zalepiły jęćo okienko wilgotną mgłą, a w samolocie zrobiło się ciemno, jakby wjechali w jakiś długi tunel. „Proszę, oto środek lata — pomyślał. — Wspaniały sierpień”. Na szczęście po chwili chmury zostały nisko w dole i znaleźli się w wielkiej, niczym nie ograniczonej przestrzeni błękitu. Z zachwytem przypatrywał się czystemu niebu, wspaniałemu słońcu, białym, postrzępionym obłokom, wkrótce jednak widok ten znużył go i zmęczył. Sięgnął po gazetę.

Zaczął jak zwykle od ostatniej strony.

Na samym środku znajdowało się niewielkie, niezbyt wyraźne zdjęcie przedstawiające mężczyznę w wieku około trzydziestu lat. Opatrzona było podpisem: *MO poszukuje. Poniżej znajdował się tekst komunikatu: KG MO poszukuje Mariana Kola, syna Józefa i Marii, urodzonego... Rysopis... Wszystkich, którzy mogliby udzielić jakichkolwiek informacji... Jednocześnie ostrzega się, że za udzielanie pomocy...*

Westchnął głęboko. Wyglądało na to, że porucznik Kalicki solidnie zabrał się do pracy. *Poszukiwany podejrzany jest o dokonanie szeregu poważnych przestępstw — przeczytał dalej.*

Spojrzał na zegarek. Wpół do dziesiątej. Gazety wychodzą o szóstej rano... Trzy godziny! Przez ten czas zapewne ktoś już zgłosił się z informacjami. Przez ten czas Marian Kot mógł opuścić miejsce dotychczasowego pobytu i wyjechać w kolejną podróż. Opublikowanie tego komunikatu było niewybaczalnym błędem.

Zagryzł nerwowo wargi. Zapewne Kalicki nie zrozumiał w ogóle, jaki był cel jego podróży do Gdańska, może sierżant nie powtórzył mu dokładnie treści rozmowy. Bałwan! Nie, to niemożliwe! Skoro załatwiono mu ten bilet — trudno było przypuszczać, że nikt nie zainteresował się przyczyną tak nagłej decyzji. A więc chodziło o coś innego... No tak, pewnie doszli do wniosku, że najważniejszą rzeczą jest sprowokowanie Mariana Kota do działania. I to bez względu na skutki.

„Będą mieli za swoje pomyślał melancholijnie. — Po raz drugi taka okazja się nie nadarzy”.

Zaczął nerwowo przerzucać stronicę gazety. Próby podjęcia lektury zakończyły się jednak niepowodzeniem. Bez przerwy spoglądał na zegarek obliczając, ile czasu dzieli ich jeszcze od przybycia do Gdańska, wiercił się na swoim fotelu i z niepokojem wyglądał przez okienko, jakby chciał sprawdzić, czy dostatecznie szybko posuwają się do przodu.

Samolot wylądował w Gdańsku o 10³⁰. Zawadzki ciężko podniósł się z miejsca i razem z innymi pasażerami zaczął wolno przesuwac się do wyjścia. Potem kilkanaście minut straconych w oczekiwaniu na taksówkę. Nareszcie! Kazał zawieźć się w okolice pewnej dzielnicy willowej. Po drodze zatrzymali się obok budki telefonicznej. Sprawdził w książce interesujący go adres i pojechali dalej. O ile jego przypuszczenia były słuszne właśnie tam należało poszukiwać Mariana Kola. W tej chwili przebywał on zapewne na drugim krańcu Polski albo szykował się do kolejnego wyjazdu za granicę, można było jednak liczyć, że rozmowa z właścicielem domu albo — jeśli dopisze szczęście — również z Romanem Gutmannem pozwoli wyjaśnić kilka spraw.

Kiedy przybyli na miejsce, okazało się, że pod wskazanym adresem znajduje się ładna, piętrowa willa. Umieszczona na drzwiach domu tabliczka świadczyła, że nic było mowy o pomyłce. Nazwisko: Balicki, Alfred Balicki, inspektor znał doskonale z akt śledztwa w sprawie Romana Gutmanna. Był to szwagier oskarżonego.

Po chwili przy furtce zaterkotał brzęczyk, sygnalizując uruchomienie elektrycznego zamka. Jednocześnie otworzyły się drzwi i na progu ukazał się wysoki mężczyzna, ubrany w popielaty szlafrok. Przez chwilę obserwowali się w milczeniu, potem inspektor, starając się zachować możliwie swobodny ton głosu, powiedział:

— Dzień dobry panu. Nazywam się Zawadzki. Jestem inspektorem milicji. Chciałbym zamienić z panem kilka słów,

Alfred Balicki nie wydawał się zaskoczony tą niespodziewaną wizytą. Poprosił swojego gościa do środka.

Znaleźli się w hallu. Mógł on przyprawić o zawał serca każdego gajowego. Ściany od sufitu do podłogi wyłożone były grubą warstwą białego drewna. Był to bodaj syberyjski wiąz. Polem, idąc wąskim korytarzem, minęli kuchnię (palona sosna) i wreszcie dotarli do salonu. Tutaj, zapewne ze względu na wielkość pomieszczenia, gospodarz nie mógł już pofolgować swoim gustom, dlatego też drewniana boazeria sięgała tylko połowy ściany i była wykonana z pośledniejszego gatunku dębu. Na środku stał niski stolik ze szklanym blatem. Obok leżały marokańskie pufy. Inspektor usiadł na jednym z nich.

— Czego się pan napije? Alfred Balicki poświęcał stanowczo za wiele czasu na oglądanie filmów Kryminalnych. Whisky, gin czy wódka?

— Vodka dry — inspektor postanowił godnie zaprezentować polską milicję. Wie pan zapewne doskonale... wódka z odrobiną wytrawnego Martini. Tak? Trudno, niech już będzie z colą...

Gospodarz nie tracąc fasonu brzęczał przez chwilę shakerem. Po chwili postawił na stoliku dwie szklanki i zasiadł na drugim pufie.

— No więc — zaczął — co pana do mnie sprowadza?

— Och, nie ważnego inspektor postanowił jak długo się da grać rolę człowieka z towarzystwa. — Zajmuję się sprawą, w którą wmieszany jest pański szwagier, Roman Gutmann. Czy przypadkiem nie widział go pan ostatnio?

Alfred Balicki skrzywił się z niesmakiem. Rozmowa najwyraźniej zaczęła dotyczyć niemiłych dla niego spraw.

— Romana? Skądże znowu. W ogóle nie utrzymujemy ze sobą stosunków... To nie jest zbyt... interesujący człowiek.

„Interesujący! Śmieszne" — pomyślał inspektor.

— A ten jego wspólnik? — zapytał. — Nazywa się Marian Kot. Też go pan nie widywał?

— Marian Kot? Tak, chyba sobie coś przypominam. Roman wspominał mi o nim...

— Kiedy?

— O, bardzo dawno. Ponad rok temu.

— I to wszystko? Nigdy się pan z nim osobiście nie zetknął?

— Nie, chyba nie. Skąd te przypuszczenia — naprawdę nic rozumiem...

Inspektor zamiast odpowiedzieć wyjął gazetę i rzucił ją na stół.

— Niech pan spojrzy na ostatnią stronę. Jest tam coś dla pana.

Alfred Balicki uważnie przeczytał komunikat. Nie zaczął wrzeszczeć ani tarzać się po dywanie. Trochę tylko trzęsły mu się ręce.

— No i co?

— Przykro mi bardzo, ale chyba nie będę mógł panu pomóc.

— Doprawdy? Niech się pan zastanowi. Proszę uważnie przeczytać cały komunikat, a zwłaszcza ostatnie zdanie. No?

Alfred Balicki zbladł, a na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Inspektor zaczął mu niemal współczuć.

— Możemy oczywiście wysłać wezwanie na komendę. Ale po co? Czy nie lepiej porozmawiać teraz? Spokojnie, przy kieliszku...

— Ale ja naprawdę nie mogę...

— To się panu tylko wydaje. Może pan! Jako obywatel ma pan pewne obowiązki. Poza tym zdradzę panu. co oznacza formułka: „poważne przestępstwo”. Marian Kot jest w tej chwili głównym podejrzanym w sprawie o morderstwo. To zmieni pańską sytuację, czy nie tak?

Milczenie.

— No dobrze, to już sobie pójdę. Jutro o dziesiątej zgłosi się pan w komendzie. Do widzenia.

— Chwileczkę...

Alfred Balicki milczał przez dłuższą chwilę. Potem ukrył twarz w dłoniach i stłumionym szeptem powiedział:

— Zgoda. Pomogę panu...

To udawane załamanie było niemal śmieszne. Interes jest interesem. To wszystko. Marian Kot po prostu przestał być odpowiednim partnerem. Po co ten cały kiepski teatr? Inspektor postanowił jednak trzymać się dalej swojej roli — po prostu dla wygody. Przybrał więc wyraz twarzy starego weterana, który z przejęciem przygotowuje się do wysłuchania rewelacji w największej sprawie swojego życia. Zaciągnął się głęboko papierosem i wygodnie usiadł na pufie.

— To było tak: rok temu zjawił się u nas Marian Kot...

Alfred Balicki zaczął mówić urywanym, pełnym wewnętrznego napięcia głosem. Potem, w miarę kontynuowania relacji, uspokajał się. Zniknęło nerwowe drżenie rąk. informacje stały się bardziej rzeczowe.

— ...powiedział, że ma kłopoty. Warsztat, który prowadził na spółkę z Romanem, zaczęła obserwować milicja. Poza tym zaczęły się pojawiać różne niespodziewane kontrole. Znałem Mariana od dosyć dawna i zawsze miałem o nim jak najlepszą opinię. Dlatego też kiedy powiedział, że dzięki jednemu ze swoich znajomych został wplątany w jakąś poważną aferę — mówił o ogromnych sumach, których nie jest w stanie zwrócić — bez wahania zaproponowałem mu. aby na razie, dopóki wszystko nie ucichnie, przeniósł się do nas. Zaproponowałem mu również pracę i udział w swojej wytwórni.

—A czym pan się zajmuje? — wtrącił inspektor.

— Produkuje różne rzeczy, zależnie od zapotrzebowania. Wtedy były to bodaj plastikowe paski do zegarków. Marian mieszkał u nas do wczoraj. Przez ten czas wszystko układało się znakomicie. Miałem wspólnika i pomocnika, którego mogłem obdarzyć pełnym zaufaniem i który znał się na prowadzeniu interesów. On miał wygodne mieszkanie, niezłe zarobki i co było chyba najważniejsze w jego sytuacji — gwarancję pełnego bezpieczeństwa. Znało go jedynie kilku moich pracowników, oczywiście pod innym nazwiskiem. Oprócz mnie o wszystkim wiedziała jedynie żona oraz jej braciszek — Roman. Wczoraj wszystko się skończyło...

Przerwał na chwilę po to, aby wypić duży łyk alkoholu. Potem mówił dalej.

— Wczoraj wieczorem przyjechał Roman. Był bardzo zdenerwowany. Od razu poszedł na górę. do pokoju Mariana. Rozmawiali ze sobą chyba przez dwie godziny. Potem zjedliśmy razem kolację, a na koniec nasz gość uprzejmie nam podziękował za wszystko, co dla niego zrobiliśmy i powiedział, że niestety musi nas opuścić.

— Chwileczkę — przerwał inspektor interesuje mnie bardzo jedna sprawa: czy Roman Gutmann przyjechał sam, czy też był z nim ktoś jeszcze?

— Przyjechał sam. Nie wypytywaliśmy Mariana, co skłoniło go do podjęcia tak nagiej decyzji. Zapewne Roman przekazał mu jakieś ważne informacje. Jakie — nie wiem. W każdym razie niedługo potem wyjechali.

— On sam nic nie mówił?

— Nie.

— A Roman Gutmann nic nie wspominał pana żonie?

Nic. Wydaje się, że on w ogóle nie darzy swojej siostry zbyt wielką sympatią. Po tym procesie stosunki pomiędzy nimi urwały się. To drobny kanciarz, tacy przysparzają tylko zbytecznych kłopotów, więc byłem nawet z tego zadowolony.

— Przypuszcza pan, że to właśnie on mógł być przyczyną kłopotów Mariana Kota?

— Nie wiem. Ale tak mi się wydaje.

— A dokąd mogli pojechać, nie domyśla się pan?

— Nie.

— Hm, jeżeli powiedział pan wszystko — inspektor zamyślił się głęboko — to pomożemy panu. Jeżeli nic...

— Powiedziałem wszystko!

— Jeżeli nie, będzie pan miał duże kłopoty. Ostrzegam!

— Przysięgam. Nic więcej nic wiem.

— Dobrze. Myślę więc, że na tym zakończymy naszą rozmowę. Dziękuję za poczęstunek i do zobaczenia.

Uścisnęli sobie ręce na pożegnanie i inspektor opuścił dom pana Balickiego. Powrotna podróż na lotnisko, oczekiwanie na samolot i lot do Warszawy zajęły mu cztery godziny. W domu znalazł się dopiero o szóstej. Zjadł obiad — głównym daniem była zawartość puszki z bułgarskim gulaszem, posprzątał mieszkanie i zmęczony wydarzeniami tego dnia położył się i uciął sobie krótką drzemkę.

Na szczęście przez cały czas nikt nie niepokoił go składaniem wizyt ani zbytecznymi telefonami. Dopiero o siódmej obudził go dźwięk dzwonka przy drzwiach. Zaspany niechętnie wstał z łóżka i powłókł się do przedpokoju. Otworzył drzwi.

Na progu stał jego przyjaciel. Wyglądał tak jak zawsze: miał na sobie to samo ubranie co wczoraj, nic także nie zmieniło się w wyrazie jego twarzy. Nie zgadzały się tylko dwa szczegóły: gruba kartonowa teczka, którą trzymał pod pachą, oraz mały, ciemno oksydowany rewolwer w prawej ręce. Wylot lufy skierowany był prosto w brzuch inspektora Zawadzkiego.

Rozdział XIII

— Przede wszystkim: spokojnie — Waław Weber mówił cichym, stanowczym głosem. — Cofnij się i podnieś ręce do góry — O. tak!

Drzwi zatrzasnęły się. Po chwili szcęknął sucho rygiel zasuwy.

— Teraz odwróć się i idź do pokoju. Powoli. Wykonał także i to polecenie.

— Możesz usiąść. Pistolet jest tam. gdzie zwykle?

Skinął głową. Doskonale.

Waław Weber otworzył lewą górną szufladę biurka i wydobył z niej służbowy pistolet inspektora. Był to stary PW — 33 kaliber 7,62 mm. Przez chwilę przyglądał mu się badawczo, potem położył na blacie biurka własny rewolwer i nie odrywając ani na chwilę wzroku od twarzy inspektora, zabrał się do sprawdzania broni.

Kciukiem prawej ręki przesunął młotek iglicy w położenie „odbezpieczony”, a lewą ręką szarpnął do tyłu płaszcz lufy. Na podłogę wypadł lśniący żółtym blaskiem mosiądzu pocisk.

Waław Weber schylił się i szybko go podniósł.

— W porządku, możesz opuścić ręce.

Włożył teraz swój rewolwer do kieszeni marynarki. Lufa pistoletu, który przez cały czas znajdował się w jego prawej dłoni, zatoczyła półkole i znalazła się na wysokości oczu inspektora. Ostrożnie zrobił kilka kroków przesuając się w stronę stołu i stojących obok krzeseł.

Usiadł na samym brzegu jednego z nich. Oparł obie ręce łokciami na stole i mocno przycisnął lewą dłoń do rękojeści pistoletu. Dzięki temu nawet mocne szarpnięcie, jakie towarzyszy oddawaniu strzału, nie było w stanie wpłynąć na lot pocisku.

Inspektor jak urzeczony wpatrywał się w otwór lufy, który przez cały czas nie drgnął nawet o milimetr i wciąż znajdował się na wprost jego oczu. Wyglądało na to, że jego przyjaciel zabrał się fachowo do roboty i nie było rzeczywiście sensu myśleć o stawianiu oporu. Zwłaszcza że w magazynku pistoletu znajdowało się, jak doskonale wiedział, jeszcze siedem pocisków.

Waław Weber roześmiał się nerwowo.

— Szach i mat. jak mówią. Jeszcze dziesięć sekund temu miałeś pewne szanse, żeby pokrzyżować mi szyki. Teraz już nie.

Inspektor milczał. Pewnie niepokoisz się, co z Hanką? Prawda? Mogę cię uspokoić — nie ma powodów do obaw. Razem z moją żoną jest na Mazurach, w pewnej małej wiosce nad jeziorem Wigry. Do najbliższej poczty jest około dziesięciu kilometrów. Poza tym zwykle nie działa ani telefon, ani telegraf. Dlatego właśnie nie miałeś od niej żadnych wiadomości.

Nic nie odpowiedział.

— To wina kłusowników. Przecinają druty, żeby nie można było wezwać milicji. Zona zostawiła ci zresztą długi list z wyjaśnieniami. Zniszczyłem go.

— Co zamierzasz zrobić? głos z ogromnym trudem wydobywał mu się z krtani i brzmiał dziwnie obco.

— A jak myślisz?

Z wysiłkiem przełknął ślinę.

— Nie wiem. Waław Weber roześmiał się znowu,

— Nie domyślasz się? Nic nie odpowiedział.

Waław Weber zastanawiał się przez chwilę.

— Właściwie powinienem już to zrobić... Ale nie, przed tym wyjaśnię ci parę rzeczy. Wiem, że to nie ma sensu, ale teraz właściwie nic mi już nie zagraża. Poza tym — dodał po chwili — nikomu innemu nie mógłbym tego opowiedzieć.

Cisza.

— Nie wiem, jak zacząć — roześmiał się nerwowo to wszystko jest takie... no, można to opowiadać na tysiąc sposobów. Tak naprawdę to najważniejsze jest jedno: wrócił Marian Kot. Dzisiaj widziano go na mieście. Podobno nawet był u was... Nie mogę dłużej czekać. Ani dnia dłużej. Ale nie roześmiał się — w ten sposób nic nie zrozumiesz. Trzeba zacząć od początku.

Umilkł na chwilę.

— No więc tak... na początku wszystko układało się dobrze i byłoby tak do dzisiaj, gdyby nie ludzie. Od tego można by zacząć i na tym właściwie można by zakończyć. Ale pewnie chciałbyś poznać szczegóły... No wiec, jak mówiłem, na początku wszystko było dobrze. Kilkanaście osób, które między sobą się nie znały, pewny system przerzutu i sprzedaży. Żle mówię — jaki tam przerzut! Po prostu, jak ktoś przywiózł z zagranicy parę drobiazgów, to mógł korzystnie je sprzedać. Potem wszystko zaczęło się rozrastać... Większe zarobki, większy przemysł, więcej ludzi. Różnych ludzi... Zaczynają się wielkie interesy, wielkie świństwa. Zaczynają się czasy pana Malca i jemu podobnych.

Zamilkł.

— Kiedy wyszło na jaw, że Malec jest konfidentem milicji, wpadłem w panikę. Wiedział niezbyt dużo, ale wystarczająco, aby mnie i parę innych osób wpakować za kratki na bardzo długo. Przy tym był jeszcze na tyle głupi, że próbował szantażu. Nic miałem innego wyjścia — wrzucił ramionami. Naprawdę nic innego nie mogłem zrobić. Pomyśl: z jednej strony pozycja zawodowa, rodzina, zarobki, dobra opinia, a z drugiej — tępą kryminalista. Nic było innego wyjścia. Nie będę ci opowiadać, jak to się odbyło — znasz się na rym dobrze. W każdym razie stało się. Niestety, sukces był połowiczny: przy wyjściu minąłem się z jakimś człowiekiem — nie wiem, czy mnie przypadkiem nie rozpoznał, a poza tym... znaleźliście ten cholerny notes. I w tym właśnie momencie zaczyna się twoja sprawa...

Inspektor patrzył w sufit. Wydawało się, że w ogóle nic słucha i z całej relacji nic dociera do niego zupełnie nic,

Waław Weber roześmiał się nerwowo i mówił dalej:

— Znam cię dobrze, Andrzej. To, co powiem ci teraz... co pewnie zlekceważysz, pomyślisz, że plotę bzdury... to będzie prawda. Wygląda ona tak: od czasu, kiedy zacząłeś pracować, tam pracować, bardzo się zmieniłeś. Na pierwszy rzut oka wszystko jest tak, jak dawniej, ale to tylko pozory. Zawsze chciałeś być dobry, no i jesteś dobry. Dobry milicjant. Bardzo dobry inspektor. Jak każdy w tym fachu jesteś podejrzliwy, nieufny. Każdy jest przecież kandydatem na przestępcę, każdy ma coś na sumieniu. Jeżeli jeszcze nie ma to może mieć. Ludzie podejrzliwi mają jedną wspólną cechę — wierzą, że wszyscy są tacy jak oni. W

odniesieniu do twoich kolegów to się sprawdza. Są tacy sami jak ty... Pomyśl: czy ufają ci. tak na sto procent? No. pomyśl! A czy ty im ufasz? Prosząc o usunięcie z akt sprawy tej wizytówki nic nie ryzykowałem doskonale wiedziałem, jak postąpisz. Nie możesz mi odmówić — za długo się znamy, nie możesz również nikomu o tym powiedzieć. W ten sposób początek zostaje zrobiony. . Na pozór nic nie zaszło — jednemu przypadkowo wplątanemu w aferę człowiekowi zaoszczędzone zostaną kłopoty i przykrości. W istocie konsekwencje są poważniejsze: staje się jasne, że niebezpieczeństwo grożące mi z twojej strony można ograniczyć, a nawet całkowicie usunąć. Bo sprawa jest zupełnie prosta: o mojej działalności w organizacji wiedzą tylko trzech ludzie: Tomasz Szlenk. Jerzy Malec oraz Marian Kot. Z tej trójki jeden już nie żyje, drugiego dzięki pewnym informacjom — mam w ręku. Pozostaje trzeci. Marian Kot. Wie on dużo. ale nie wszystko. Orientuje się, na przykład, gdzie pracuję, ale nie zna mojego nazwiska. Nie wie dokładnie, jak wyglądam. Tobie wystarczyłaby chwila, aby skojarzyć sobie człowieka z zeznań Mariana Kota z moją osobą; kto inny, nie wiedząc o tej wizytówce, nigdy by na to nie wpadł. Na szczęście Marian Kot wyjeżdża za granicę. Na razie jestem zupełnie bezpieczny. Oczywiście orientuję się, że Marian Kot kiedyś musi wrócić — albo sam, przed wygaśnięciem terminu ważności paszportu, albo w towarzystwie dwóch policjantów — jako deportowany cudzoziemiec. A wtedy śmiertelnym zagrożeniem stajesz się ty. Musiałem jakoś rozwiązać tę sprawę.

Posłużyłem się starą metodą. Nikomu nie ufasz? Doskonale. Podejrzewasz każdego? Świetnie. Podsunie ci nowy obiekt podejrzeń. Poprosiłem Szlenka, żeby nawiązał kontakt z dawną znajomą z uczelni, a obecną żoną inspektora milicji. I dało się: zazdrość, męska ambicja — zacząłeś podejrzewać swoją żonę. Wiadomo było, że wcześniej czy później coś z tego wyniknie, no i wynikło: umówiłeś się na poważną rozmowę ze Szlenkiem. On zawiadomił mnie, a ja od razu przyjechałem do niego do domu. Lepszej okazji nie mógłbym sobie wymarzyć — po prostu nie mogłem jej nie wykorzystać. Tak więc następny człowiek, który wiedział o mnie za dużo, odszedł. Musiał odejść. Nie miałem żadnych wyrzutów sumienia. Bałem się tylko, żeby nie popełnić tego samego błędu, co w przypadku Malca, przeszukałem więc dokładnie całe mieszkanie.

Nie znaleźliście wtedy żadnych prywatnych papierów, prawda? Zostaną znalezione teraz. Mam je przy sobie — są w tej teczce.

Musiałem usunąć na pewien czas twoją żonę. Na szczęście obeszło się tym razem bez gwałtownych czynów. Udało mi się ją namówić, aby w towarzystwie mojej małżonki wyjechała odpocząć na parę dni. Odwiozłem obie panie na dworzec, a potem wróciłem do was do domu. Miałem duplikaty kluczy, więc bez trudności wszedłem do środka. Zrobiłem trochę bałaganu, żeby upozorować porwanie, zostawiłem ten list, podrzuciłem parę zdjęć, no i roztrzaskałem telefon. To ostatnie z przyczyn technicznych było konieczne kiedy namawialiśmy ją na ten wyjazd, chciała koniecznie zadzwonić do ciebie. Uniemożliwiłem to. psując niepostrzeżenie aparat potem obawiałem się, że ślady mojej dłubaniny będą zbyt widoczne.

Co jeszcze? To już chyba wszystko. Mechanizm egzekucyjny, który uruchomiłem, zaczął działać.

Od tej chwili mogłeś podejrzewać wszystkich razem i każdego z osobna. Mogłeś głowić się nad rozwiązaniem tej sprawy, szukać winnych. Mogłeś nawet odgadnąć prawidłowe rozwiązanie, domyślić się, kto zaplanował to wszystko. Ja byłem bezpieczny. Bo i tak nic mogłeś nikomu o tym powiedzieć i właściwie nic zrobić. Do końca musiałeś grać rolę, jaką ci wyznaczyłem, inkasując tylko co pewien czas nowe ciosy. Kluczem do całej sprawy jest, jak ci już mówiłem, kwestia zaufania.

Historia ze Szlenkiem powiedziałbyś o tym komuś z komendy? Bzdura. Wiesz dobrze, że będąc po drugiej stronie sam nie puściłbyś płazem takiej sprawy. Jeden zero. Możesz powiedzieć o porwaniu żony? Możesz, ale tego nie zrobisz. Dwa zero. Przychodzi ten anonim — teraz kolej na twoich zwierzchników. Zostajesz zawieszony w czynnościach. Trzy zero. Teraz zginiesz. I to będzie kolejny punkt. Kapitan Zawadzki za kilka minut popełni samobójstwo. Myślę, że nikt nie będzie się temu specjalnie dziwił: łapówki,

zabójstwa — najpierw nieszczęsnego konfidenta, który miał dosyć płacenia haraczu, potem kochanka żony. Niestety, nie odejdiesz z tego świata jako świetlana postać... I co za gratka dla twoich kolegów! Taki dobry pracownik, taki uczciwy, tak mu ufaliśmy! No i co? Fatalnie! Wniosek: zdwoić czujność. Zwiększyć kontrolę. Wszyscy są podejrzani. Wszyscy.

A efekty? Te same, co w twoim przypadku. Patologiczna podejrzliwość, psychiczne kalectwo. I tak rosną nowe zastępy specjalistów od łamigłówek! A tu jest prawdziwe życie, a nie książkowa szarada i bez poczciwego mundurowego z kajdankami ani rusz. Prawda, panie inspektorze?

„Nieźła przemowa — pomyślał inspektor — szkoda tylko, że dla tak skromnego audytorium. Wszystko jasne, proste, logiczne. Ale jest jeden błąd. Bo istnieje ktoś, komu ufam — ufam całkowicie”.

Rozdział XIV

Inspektor siedział na swoim miejscu i wpatrywał się w przeciwległą ścianę. Wyglądało na to, że rozmowa była skończona. Zimny dotyk lufy pistoletu, który czuł w pobliżu prawej skroni, był najlepszym dowodem, że Waław Weber nie zamierzał zwlekać dłużej z wprowadzeniem w czyn swoich planów. Przechylił głowę o parę centymetrów. Nacisk nie zelżał ani trochę, Zły los nie chciał dać mu najmniejszej szansy. Wacek — odezwał się.

— Tak?

— Popełniłeś błąd.

Starał się nadać swojemu głosowi możliwie pewne i stanowcze brzmienie. Niestety, nadal przychodziło mu to z wielką trudnością.

— Zawiadomiłem o wszystkim swoich przełożonych. Nie masz żadnych szans. Dom jest otoczony.

— Żartujesz. Ostatnia próba.

— Odłóż ten pistolet i porozmawiajmy spokojnie. W przeciwnym razie możesz mieć naprawdę poważne kłopoty.

Waław Weber roześmiał się głośno.

— Staralem się wytłumaczyć, dlaczego to niemożliwe. Dobrze, załóżmy, że masz rację. Powiedz mi zatem, dlaczego do tej pory nikt jeszcze nie zjawił się na górze. Może chcą mieć niezbite dowody, aby oskarżyć mnie o trzecie z kolei morderstwo? A może nie zależy im już na życiu jednego z pracowników?

Nacisk lufy znowu powiększył się.

Przez ułamek sekundy rozważył kilkanaście możliwości wyjścia z sytuacji. Wszystkie były równie złe. Odwrócił wzrok w prawą stronę. Całe pole widzenia, niemal bez reszty, wypełniała opalona, szczupła dłoń, trzymająca pistolet. Był to jego stary PW — 33. Zawsze starannie naoliwiony, gotowy do natychmiastowego użycia. Zapewne tym razem też nie powinien zawieść. W ciągu kilkunastu lat nie zdarzyło się to ani razu.

dlatego też uparł się, aby go zatrzymać, mimo że od dawna nie stanowił on regulaminowego uzbrojenia oficera milicji.

Sam właściwie nie wiedział, kiedy pomysł ten przyszedł mu do głowy. Był zupełnie szalony i nie rokował żadnych szans powodzenia. Należało jednak spróbować. Pistolet PW — 33 miał pewną interesującą właściwość: każdy mocniejszy nacisk na czoło lufy powodował automatycznie blokadę mechanizmu spustowego. Nazywano to nawet drugim bezpiecznikiem. Waclaw Weber zapewne o tym nie wiedział.

Odsunął nieznacznie głowę, a potem szybko przechylił ją w drugą stronę. Lufa niemal rozsadziła mu skroń. Palec na języku spustowym gwałtownie przesunął się do tyłu. Strzał jednak nie nastąpił.

Wystarczył mu najzupełniej ułamek sekundy. Chwila rozproszenia uwagi, która nie trwała dłużej niż mgnienie oka.

Precyzyjnym ciosem kantem dłoni trafił prosto w przegub reki. Pistolet jak zdmuchnięty wyleciał ze zmartwiałych palców, a on błyskawicznie zerwał się na nogi.

Waclaw Weber stał nieruchomo. Szeroko otwarte oczy i wyraz zdziwienia na twarzy świadczyły, że nie może zrozumieć, co się w ogóle dzieje. Następnym ciosem nie doszedł do celu. Wypreżona dłoń minęła szyję przeciwnika w odległości paru centymetrów.

Waclaw Weber wiedziony tylko refleksem zdołał uchylić się w ostatniej chwili. Potem szybkim ruchem sięgnął do kieszeni marynarki.

Było już jednak za późno. Otrzymał najpierw niezbyt silny cios w splot słoneczny, a później — ponieważ prawa ręka wciąż przesunęła się w kierunku kieszeni marynarki — potężne uderzenie w tętnicę szyjną. To wystarczyło. Runął na podłogę.

Inspektor nabrał głęboko powietrza w płuca i usiadł z powrotem na krześle. W tej chwili miał tylko ochotę na papierosa i szklanek czegoś mocniejszego. Ponieważ nic miał siły wstać i podejść do barku, siedział nieruchomo na swoim miejscu jeszcze przez kilkadziesiąt sekund. Potem zdarzyło się kilka rzeczy naraz.

Przede wszystkim trzasnął sucho zamek przy drzwiach i do pokoju wpadło kilku mężczyzn. Pierwszym z nich był oczywiście sierżant Kamiński. Potem głośno zadzwonił telefon. Wreszcie Waclaw Weber, który dotychczas leżał bez ruchu, ciężko podniósł się na rękach i osłupiałym, nieprzytomnym wzrokiem zaczął rozglądać się po pokoju, który teraz był już pełen ludzi.

—Uwaga, ma broń! — usłyszał czyjś nerwowy okrzyk.

Odwrócił głowę. Miał najzupełniej dosyć tej zabawy.

— Ostrożnie, uważajcie! — No, oddaj to! Tylko spokojnie. Dobrze, A teraz podnieś ręce.

Telefon znowu zaczął dzwonić. Usłyszał radosny głos Kamińskiego.

—Tak, tak, wszystko w porządku. Mamy go. Kapitan? Nie, na szczęście nic mu się nie stało. Tak! Panie kapitanie to było już do niego — major pyta, czy wszystko w porządku.

Skinął głową.

Rozmowa trwała dalej. Kiedy się wreszcie skończyła, telefon znów zaczął dzwonić.

Ciężko podniósł się z miejsca i podszedł do szafki, w której powinna znajdować się jeszcze pełna butelka koniaku. Wyjął jeden kieliszek. Nalał do pełna, tak że alkohol niemal przelewał się przez brzegi i wypił jednym haustem. Potem następnym. Od razu poczuł się lepiej. Za jego plecami ani na chwilę nie cichł gwar podnieconych głosów. Odwrócił się.

Wacław Weber stał teraz pod ścianą z rękami podniesionymi wysoko do góry. Dwaj milicjanci sprawdzali, czy nie ma przy sobie żadnych śmiercionośnych przedmiotów. Potem nałożyli mu kajdanki i wyprowadzili na zewnątrz. Patrzył na to wszystko bez cienia emocji. Dalsze losy jego przyjaciela nie interesowały go już ani trochę. Najważniejsze, że w pokoju zrobiło się trochę luźniej. Wyjął z kieszeni pogniecioną paczkę papierosów. Pożyczył zapałki od jednego z milicjantów, który dyskutował razem z grupką swoich kolegów i podszedł do okna. Papieros smakował okropnie. Po kilku głębokich haustach dym odzyskał jednak swój zwykły aromat.

Tuż za nim ktoś krzyczał głośno. Ktoś inny odpowiadał mu bez sensu. Wyglądało na to, że wszyscy bawią się doskonale bez jego udziału. Wyrzwał przez okno. Na podwórzu stało kilka samochodów z zapalonymi reflektorami. Tam także trwała gorączkowa bieżączka. Na ulicy zaczęli już gromadzić się gapię żądni sensacji i darmowego widowiska. Ktoś położył mu rękę na ramieniu. Odwrócił się. Przed nim stał sierżant Kamiński.

— No i co? — odezwał się pierwszy. Wszystko w porządku, panie kapitanie

Kamiński wyglądał na zadowolonego z siebie.

— Udało się! Major dopiero dzisiaj powiedział mi o wszystkim... pokręcił głową. — Kto mógłby przypuszczać...

— Zdarza się.

— Kiedy pan na to wpadł?

Zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie uznał, że może zaspokoić ciekawość swojego podwładnego.

— Wczoraj. Kiedy major powiedział mi o tym anonimie. Było tam... On napisał parę rzeczy, o których mogliśmy wiedzieć tylko ja i on.

— O co dokładnie chodziło?

— Oficjalnie nazywa się to zatajaniem informacji i ukrywaniem dowodów rzeczowych. Nieoficjalnie... Mniejsza z tym. Sądził pewnie, że nie będę miał okazji zapoznać się z tym anonimem. A może uważał, że już nic nie może mu zaszkodzić? Nie wiem. W każdym razie wczoraj właśnie uzgodniliśmy z majorem cały plan. No i na szczęście poszło dobrze.

— Lepiej niż dobrze.

— Hm. Tak. Ale, ale, powiedzcie mi, sierżancie, dlaczego wszystko trwało tak długo? Przyznam, że bardzo mnie to intryguje.

Zamiast odpowiedzi sierżant odwrócił się i rozpychając tłum, który nadał kłębił się we wnętrzu mieszkania, podszedł do półek z książkami. Przez chwilę manipulował przy drewnianej ścianie, a potem wyciągnął ze szczeliny za półką niewielką, sześcienną kostkę.

— To miniaturowy nadajnik. Odbiornik znajdował się w jednym z samochodów na dole. Przez cały czas nagrywaliśmy wszystko. Major uparł się, że chce mieć pełne zeznanie plus wystarczające dowody, żeby dodatkowo oskarżyć go o próbę zabójstwa.

— Szkoda, że o tym nie wiedziałem. Wielka szkoda... A tak nawiasem mówiąc — niewiele brakowało, żeby ta próba powiodła się.

Kamiński roześmiał się głośno.

— Skądże, panie kapitanie. Nasi ludzie, którzy dzisiaj instalowali podsłuch, dokonali pewnych przeróbek w pana pistolecie.

— Ach tak!

Sierżant odwrócił się na pięcie i znowu zniknął gdzieś w tłumie. Zanościło się, że napływ ludzi nigdy nie ustanie. W mieszkaniu bez przerwy pojawiał się ktoś nowy. Oprócz pracowników komendy tłumnie stawili się milicjanci z patrolu, technicy i kierowcy. Zamęt powiększał się z każdą chwilą. Każdy mówił bardzo głośno starając się przekrzyczeć innych. W powietrzu unosiły się kłęby tytoniowego dymu. Inspektor poczuł, że ma zupełnie dosyć tego wszystkiego.

Po chwili wrócił sierżant. W rękę trzymał pistolet, zapakowany w worek z folii.

— Otóż, panie kapitanie, sprawa jest zupełnie prosta. Wymieniliśmy iglicę na odrobinę krótszą. Niech pan teraz uważa — gdybym nacisnął spust — strzał nie nastąpi.

— Rozumiem. Miła niespodzianka! Kamiński zaczął przypatrywać się badawczo pistoletowi.

— Zaraz, zaraz, coś się tutaj nie zgadza. Przecież kurek jest nadal odwiedziony. To znaczy, że...

— Że co?

Po prostu nikt nie nacisnął spustu! Inspektor patrzył obojętnie w okno.

— Jak to możliwe?

— Zastanowicie się nad tym w wolnej chwili, sierżancie. To naprawdę nic nadzwyczajnego.

Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie odezwał się Kamiński chyba po raz pierwszy od czasu, gdy zaczęli ze sobą pracować, w jego głosie można było usłyszeć coś w rodzaju szacunku czy nawet podziwu. Panie kapitanie, jest jeszcze jedna sprawa...

— Słucham.

— Dzisiaj zgłosił się do nas Marian Kot. Złożył pełne zeznania.

— No i co?

— Wszystko się zgadza. Okazuje się, że jest niewinny. Miał po prostu pecha. Tego wieczoru, gdy zamordowano Malca, był w jego mieszkaniu. Zjawił się tam zaraz po falcie. Ponieważ Malec oszukał go na jakieś trzysta tysięcy złotych, miał znakomity motyw zabójstwa. Bał się, że nikt nic uwierzy w jego wersję. Wyjechał za granicę. Po kilku dniach wrócił — jak pan już wie. Przez cały czas ukrywał się u kogoś w Gdańsku. Nie chce powiedzieć u kogo, ale na pewno to ustalimy.

— To zbyteczne. Byłem tam dzisiaj.

— Ach tak! Razem z nim przyszedł Roman Gutmann. Zmienił poprzednie zeznanie.

— No?

— Tego dnia nie był w kinie, tylko gdzieś na mieście. Nie miał alibi, postanowił więc wykorzystać fakt wyjazdu swojego współlnika. Pomógł mu także załatwić tę kryjówkę.

Sprytne.

— Właśnie. W ten sposób nawzajem się ochraniaли. Inspektor nie zadawał już żadnych pytań. Stał nieruchomo i patrzył na niebo, po którym majestatycznie płynęły kłęby ciemnych chmur. Zapewne tak będzie już do końca tego fatalnego lata.

Sierżant chrząknął cicho. Zapewne chciał coś jeszcze powiedzieć. No, słucham.

— Panie kapitanie, rzeczywiście to nie wyszło najlepiej... Powinniśmy uprzedzić pana o wszystkim. Jest mi naprawdę bardzo przykro. Ja... no cóż... sam nie wiem, jak bym się czuł w takiej sytuacji... Trzeba było postąpić inaczej...

Inspektor nadal obserwował widok za oknem. „Patologiczna podejrzliwość” pomyślał. A to dobre!

Uśmiechnął się smutno.

— Naprawdę nie ma się czym przejmować, sierżancie — powiedział po chwili. — Można i tak.

Popatrzył przed siebie i powtórzył półgłosem:

—Można i tak.